

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 27. Warszawa dnia 24 Czerwca (6 Lipca) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu	**na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie.**
rocznie . . . rs. 6 k. —	
półrocznie . . „ 3 „ —	rocznie . . . rs. 8 k. —
kwartalnie . . „ 1 „ 50	półrocznie . . „ 4 „ —
miesięcznie. . „ — „ 50	kwartalnie . . „ 2 „ —

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Złr. 10. **w Galicyi** Złr. 11 cent. 50.—**w Prusach** roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EXPEDYCYĄ PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: **w Poznaniu** w Księgarni *Leitgebera i Spółki*; **we Lwowie** *w Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; **w Krakowie** w Księgarni *Gebethnera i Spółki*; **w Wilnie** u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

O WAŻNOŚCI WYBORU FACHU.

Że praca i wytrwanie są najważniejszemi podstawami dobrobytu każdej jednostki w jakimkolwiek kierunku działającej, o tém nikt ze zdrowo biorących rzeczy nie wątpi—pomimo wielu fałszywych opinij, chcących rozum i dzielność człowieka uczynić zależnemi od nieokreślonych wypadków.... Dawne „łut szczęścia więcej wart, jak funt rozumu", dziś może być zastąpione pewnikiem „jak sobie pościelesz tak się wyspisz".

W obec pewnika tego od najwcześniejszych już chwil, należy czuwać Rodzicom nad rozwojem młodzieży—należy umieć wskazywać jej kierunek najodpowiedniejszy warunkom jej moralnym i fizycznym.

Inaczej gotujemy i sobie i wychowańcom naszym szereg gorzkich zawodów, wytwarzamy ludzi niedołęgów, którzy nie chcąc lub nie mogąc pojąć właściwego źródła złego, uważają się za ofiary losu—i skargę lub złorzeczenie oddają w zamian za szczere lecz niestety nietrafne chęci!...

Najważniejszą chwilą w życiu jest zapewne chwili obierania sobie pewnego zajęcia—stanu, mającego być źródłem i rękojmią istnienia samodzielnego nadal, i dobrobytu. Żadna jednakże kwestya inna, nie traktuje się u nas z takiem jak ta lekceważeniem właśnie!... Albo wcale albo w rzadkich bardzo wypadkach korzysta się ze wskazówek na doświadczeniu opartych—i pomimo wielkiej odpowiedzialności w obec społeczeństwa, rzuca się najczęściej los człowieka... na kartę.

„On będzie inżénierem" — powiada matka, topiąc spojrzenie pełne miłości i dumy w swego ulubieńca, *„będę bogatym"* dodaje ze swéj strony chłopczyna,“ a obdarzony uściskiem, odbiera pierwsze niby namaszczenie na drodze tej specyalności. Myśl, tak sobie oto rzucona na wiatr, prześladuje odtąd chłopczynę i jego rodzicielkę — więc niezbadawszy zupełnie czy zamiary owe nie są czasami wprost przeciwne wewnętrznemu powołaniu, zdolnościom i siłom; czy chociażby wreszcie gałąź ta nie jest zbyt przepełnioną w stosunku do potrzeb kraju: gwaltem oniemal narzuca mu się, by później rozczarowany w pośrodku drogi, poznał niestosowność obranego kierunku, i... nie wiedział co z sobą począć. Z takich to indywiduów pochodzą ci nieszczęśliwi, którzy raz zminąwszy się z gruntem właściwym ich zdolnościom umysłowym i fizycznym, całe życie to opłakują—nie mogąc w niczem dojść do doskonałości, a tym tylko sposobem, do odpowiednich środków utrzymania i rozwoju.

Powyższy przykład nie odnosi się li tylko do chcących się poświęcić naukowym studyom, ma on bardzo częste zastosowanie pomiędzy kształcącemi się w rozlicznych rzemiosłach, i nawet nadużycia w ostatnim wypadku, muszą być bez porównania liczniejsze, jeżeli weźmiemy na uwagę że wiek, elementarne początki i lekceważenie z jakiem się przeznacza chłopców do terminu, dale-

ko ich stawia, w nieszczęśliwszém położeniu od młodzieży, która po ukończeniu szkół niższych ma na tyle już rozwinięty pogląd własny, by sobie najodpowiedniejszą specyalność obrać.

Pierwszy prawie punkt wyjścia, jaki się nasuwa na myśl przy traktowaniu w tej kwestyi, jest oznaczenie wieku od którego wolno by przyjąć chłopca do terminu, lub zajęcia fabrycznego. Za zasadę w tym razie na zachodzie przyjęto: w Niemczech lat 14, w Belgii 12 (uwzględniając krytyczne położenie rodziny, której przedstawiciel nie jest w stanie własnym zasileniem wyżywić), we Francyi jakkolwiek mniej przestrzegana jak w Niemczech, jest zwyczajem uświęcona norma lat 13. Zasada powyższa ma ważne znaczenie, jeżeli zauważymy, że do lat 14 doszedłszy chłopiec, (przy przymusowej oświacie) rozwija się już moralnie i fizycznie o tyle, że można mniej więcej opierając się na tych danych, wywnioskować jaki rodzaj zajęcia będzie dla niego najodpowiedniejszym.

Nikt nie zaprzeczy, że zdolności umysłowe człowieka stanowią nadzwyczajną dźwignię we wszystkiem czego się tknie, ale w 14 roku życia rzadko bardzo myśl tak silnie promienieje, iżby rzucała pewne światło na cel, ku któremu dąży—i często występuje ono jako chęć zewnętrzna, jako instykt dający pierwszeństwo jednemu zajęciu nad drugiem. Lecz wybór jest wynikiem porównania, chcąc przeto skorzystać sumiennie z tego rzadko mylącego naturalnego pociągu, należałoby o ile można rozszerzyć granice wyboru, czyli w jak najrozmaitszych rzemiosłach dać ogólne pojęcia i małą praktykę. Trudne to na pozór, dałoby się usunąć z łatwością—czy to przez troskliwość rodzicielską, czy też przez trafne uczenie początków niektórych fachów w szkołach elementarnych, gdyż wtedy u mających pod oczami jedno i drugie rzemiosło, łatwo siłą mimowolnego porównania rozbudziła by się ochota a z nią wyszłoby na jaw owe prorocze przekonanie, dające już rękojmię w wyborze pracy. W tym tylko zakresie, przy sprzyjających warunkach, może służyć pomieniony instykt za drogowskaz w tej ważnej chwili życia, wkrórej jedno fałszywe stąpnięcie naraża często na niepowetowane straty.

Z kolei rzeczy pozostaje jeszcze druga a w tym wypadku może więcej decydująca, jako lepiej rozwinięta, strona fizyczna chłopca. Tu za fundament naszych poglądów musimy przyjąć większą lub mniejszą doskonałość organów i części naszego ciała, wiedząc że w każdym rzemiośle jedna z nich przeważnie gra główną rolę. Podług zatem tej zasady można się kierować w naszych wyborach.

Tak wiemy np: że wszystkie bez wyjątku zajęcia wymagają wzroku, ale nie wszystkie w jednej sile potrzebują tego organu—jedne wpływają na rozwinięcia onego, drugie zaś działają wprost przeciwnie. Łatwo to objaśnić porównawszy przypuśćmy, zajęcia ogrodnika z pracą zegarmistrza, kowala, krawca i t. p.

Światło naturalne jest jedynym środkiem konserwowania i wzmacniania ócz, gdy tymczasem drobiazgowość przedmiotów, blask ognia, sztuczne oświetlenie wymagają natężenia wzroku, lub też bezpośrednio go psują. Chłopcom więc mającym z natury słabe oczy, czy też łatwo mogące uledz zepsuciu, co się da mniej więcej ocenić z ich oprawy, długości rzęsów i t. d: bezwarunkowo zajęcia tego ostatniego rodzaju będą szkodliwe.

Weźmy dalej obdarzonych silną piersią a mało rozwiniętemi nogami czyż dla nich nie będą odpowiednie zajęcia siedzące: szewstwo, krawiectwo jubilerstwo, a nie rzemiosła wymagające koniecznie siły tych części?. Chłopców zbytecznie krępej budowy o krótkiej szyi zupełnie nie jest właściwie oddawać do praktyki piwowara, gdzie ciągłe nachylenie sprawia zbyteczne uderzenie krwi do głowy.

Również często bardzo nielogicznie jest oddawać do fachu optyka, jubilera dzieci mające zbyt dużą rękę. Napozór drobny szczegół a w gruncie stanowi ważną przeszkodę w wyrabianiu delikatnych rzeczy.

Powyższe i inne warunki, wynikające czy to z wymagań zajęcia, czy też ze względów hygienicznych, powinny być z możliwą troskliwością brane pod rozbiór; i gdy sami nie czujemy się zdolni coś stanowczego w tym względzie zadecydować, dobrze jest poradzić się ludzi specyalnych t. j. co się tyczy rzemiosła ludzi fachowych, co zaś zdrowia—doktorów.

Wszystkie te wymagania nie sądzę ażeby się wydawały w oczach bliżej temi kwestyami zainteresowanej publiki wygórowanemi; gdyż wierzę że ożywcze promienie nauki i postępu, zdołały przeniknąć do myśli i do serca ogółu, zdołały tam rozbudzić, nie powiem nie istniejącą, ale przez nieoględność lekceważoną troskliwość o byt i przyszłość dzieci. Komuż bowiem nie rzuca się w oczy trudność zdobycia sobie powszedniego chleba, trudność— którą w wirze ogólnego ubiegania się, mogą przełamać li tylko ludzie specyalnie uzdolnieni w swoim fachu?... Nie dojdą nigdy do celu ci—co trafią w zaraniu samem na nieuwzględniane przeszkody moralne i fizyczne....

Henryk Zielezinski.

DZIEDZICTWO LELGARDY

POWIEŚĆ NIEZNAJOMEGO AUTORA

przekład z angielskiego

L. Kuczyńskiej.

Pani Bracebridge mówiła dalej:

— Miss Atheling zawsze jeszcze za dziecko uważała miss Hildę; bo też ona wyglądała dziecinnie i będąc nadzwyczaj łagodnego usposobienia ulegała siostrze we wszystkiem. Nic się, dla niej nie zmieniło z wiadomością miss Atheling, gdy dorosła, prócz tego że włosy inaczej zaczesywała i suknie innym krojem robione nosiła, lecz tego właśnie lata zaczęła się choroba starego squira która go do grobu zaprowadziła — było to okropne wewnętrzne cierpienie.

— I Zapewne miss Atheling wiele czasu przy ojcu spędzała, rzekłam śpiesznie, lękając się aby staruszka nie zaczęła wchodzić w przykre szczegóły.

— Nieodstępowała go dniem i nocą, upewniam panią, a pan Hamilton miał niby tymczasem rysować, a miss Hilda miała się ćwiczyć w muzyce, to wszystko w tamtym pokoju, który w tenczas nazywano klassą. Ale my domownicy, co innego powiedzieć mogliśmy.

— Szkoda że nie powiedzieliście — rzekłam z cnotliwem oburzeniem.

— Była to rzecz *niani*, a nie nasza, ale *niania* nie umiała niczego odmówić miss Hildzie, choćby to był nóż do przerżnięcia gardła, jak to mówiliśmy nieraz. Otóż z jakiego to się stało powodu, tego paniom powiedzieć nie mogę, bo tego nigdy dokładnie nie wiedziałam, dosyć że jednego dnia miss Atheling weszła do klassy, i zastała pana Hamitona malującego portret jej siostry, lub może tylko mającego malować, nie wiem co między niemi zaszło, bo miss Atheling nie miała zwyczaju gniewać się głośno, lecz spotkałam ją w tym salonie prowadzącą miss Hildę do jej pokoju, a wyraz jej twarzy, moje panie, straszny był w tej chwili.

— I cóż się stało?

— Pan Hamilton natychmiast wyjechał, a portret miss Hildy wyniesiony został do składu starych rupieci, gdzie precz długi czas pozostał. Nakoniec jednego dnia zobaczyłam go za szafą w pokoju miss Hildy, zapewne

niania go tam przyniosła na prośby biednej panienki.

— A cóż miss Iteldrida zrobiła swojej siostrze? zapytała Lelgarda z szeroko otwartemi oczyma, jak gdyby się lękała usłyszeć że ją brała na tortury.

— Pani moja! jedno jej spojrzenie dostatecznem było do zgnębienia miss Hildy; nie słyszałam nigdy aby biedna młoda lady w inszy sposób ukaraną została; zapewne miss Atheling chodziło tylko oto żeby się nikt o tem zajściu nie dowiedział, a nadewszystko stary ojciec. A w jesieni pojechali wszyscy do Londynu dla kuracyi pana Athelinga, i przez całą zimę tam pozostali.

— Czy i pani z niemi pojechałaś?

— Nie łaskawa pani — pojechała tylko pokojówka miss Atheling i jeden czy dwóch z męzkiej służby, bo państwo mieli mieszkać w hotelu. *Niania* pojechała także, i od tego czasu nie opuszczała już miss Hildy, bo pokojówka miss Atheling dosyć miała do roboty pomagając swej pani w doglądaniu starego squira: o! bo on wiele cierpieć musiał!

— Czy w Londynie umarł? — zapytała Lelgarda.

— Nie pani, powrócili wszyscy na wiosnę; miss Hilda tak mizerna jak gdyby także umierać miała; zupełnie była upadła na duchu i prawie wcale nie wychodziła ze swego pokoju, ale miss Atheling tak była zajęta ojcem że nic więcej nie widziała. Nakoniec *niania* powiedziała jej że biedna miss Hilda potrzebuje koniecznie łagodnego nadmorskiego powietrza, które już raz zdrowie jej powróciło, i znowu ją uratować może, jeżeli już nie jest za późno. I tak długo nalegała aż jej pozwolono zawieść cierpiącą panienkę nad brzeg morza, gdzieś do Devonshiru. Dobrze ja to widziałam że mojej pani markotno było iż sama z nią pojechać nie może, kto wie nawet czy nie miała za złe miss Hildzie że nie wolała raczej zostawać w domu i umierać, aniżeli jechać tak dalego kiedy ojciec mógł lada dzień zamknąć powieki, lecz trudno było nie widzieć jak miss Hilda była słabą, puściła ją więc, choć niechętnie.

— Byłaż nieobecną kiedy umarł ojcie?

— Nie pani squirowi polepszyło się trochę, i dożył jeszcze do końca lata; trafiło się tak że umarł w sam dzień powrotu miss Hildy do domu. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy kiedy wyszła z pokoju ojca! Rzuciła się na ziemię z rozpaczą, nazwała się nikczemną, występną, wyrzucała sobie zapewne swoję nieobecność, jeżeli biedaczka nie miała sobie co innego jeszcze do wyrzucenia. *Nianit* była milczącą jak grób, ale wiem że ludzie mówili....

Tu się zawahała, a ja nie wiedziałam sposobu oszczędzenia gorszących szczegółów niewinnym uszom mojej Lelgardy, pomyślałam tylko że jeżeli takie rzeczy trafiały się pomiędzy Athelingami, nie warto było nosić arystokratycznego imienia.

— Czy prędko potem zaczęły się owe nieuleczone cierpienia miss Hildy? — zapytałam.

Pani Bracebridge wstrząsnęła głową, i poraz pierwszy dostrzegłam łzy w jej oczach.

— Wtenczas właśnie, łaskawa pani, w tym samym tygodniu kiedy się odbył pogrzeb jej ojca, ale nie to je spowodowało, tylko nagły cios jaki ją dotknął.

— Jaki cios?

— Wiadomość o śmierci pana Hamiltona pani; nieborak zginął pośród owych gór śnieżnych gdzie panów często śmierć spotyka; a miss Hilda całkiem niespodzianie, wyczytała wiadomość o tem nieszczęściu w gazecie. Biedaczka musiała się do niego przywiązać.

— Zapewnie siostra dzieliła z nią ten smutek, — rzekła Lelgarda zniżonym głosem wymawiając to nieprawdopodobne przypuszczenie.

— Łaskawa pani, miss Atheling przedewszystkiem miała na względzie honor rodziny, może, ten wypadek uważała za zbawienny dla tegoż honoru, lecz miss Hilda nie mogła podzielać takiego sposobu widzenia rzeczy. Nie mogę jednak stanowczo o tem mówić, gdyż cokolwiek zaszło między niemi, to niedochodziło uszu służących. Raz jeden tylko przypadkiem usłyszałam — pani Bracebridge z pewnem zawstydzeniem te słowa wymówiła, przypadkiem usłyszałam kilka słów przyostrych. Miss Atheling wymawiała siostrze jak się nie wstydzi rozpaczać, że powinnaby raczej na kolanach Bogu dziękować że się tak stało — że to było prawdziwem z rządzeniem Opatrzności, które ją samę i całą rodzinę od hańby ocalało. — Od hańby! pierwszy raz wtenczas usłyszałam miss Hildę z taką dumą przemawiającą, chociaż głos jej drżał i łzy go tłumiły, potem mówiła znowu moja pani, ale miss Atheling kiedy była rozgniewana zawsze głos zniżała, dosłyszałam tylko „widzieć moję siostę na marach", i potem wyraźnie: zabiłabym go własnemi rękami, a potem, o pani! rozdzierający krzyk miss Hildy, która biedaczka dostała w tenczas pierwszy raz napad histerycznego płaczu, które potem coraz częściejsze i gwałtowniejsze bywały — a przecież moja pani nie była zdolną do tak okropnego czynu.

— I ja tak sądzę, rzekłam, a w oczach mi stanął obraz miss Atheling wstępującej na rusztowanie w niebieskiej atłasowej sukni, i uśmiechnęłam się; lecz kobieta zdolna do wymawiania podobnych pogróżek nie musiała być bardzo miłą w pożyciu, i nie dziwiłam się już przyjętemu jak się zdawało w tym domu wyrażeniu: „Biedna miss Hilda:

— I zapewne od tego czasu zdrowie miss Hildy ciągle się pogorszało? — zagądnęła Lelgarda.

— Coraz się pogorszało; owe histeryczne ataki, jeżeli takiemi były rzeczywiście, doprowadziły ją do stopniowej utraty władzy w członkach; chociaż doktorzy, — a miała ich tylu ileby starczyło na wyprawienie na tamten świat pełnego chorych szpitala, — doktorzy mówię, utrzymywali że to było tylko nerwowe osłabienie. Ale co oni wiedzą? *Niania* mogłaby była paniom lepiej to wszystko opowiedzieć bo dniem i nocą miss Hildy nie odstępowała. To trwało przez lat blisko pietnaście, aż nakoniec biedna *niania*, już od pewnego czasu na serce cierpiąca, nagle umarła w pokoju miss Hildy i w jej oczach. Miss Hilda od tej chwili zaniemówiła, i w tydzień poszła za nią do grobu.

— Dziękuję pani, rzekła Lelgarda; smutna to historya, ale zdaje mi się że należało mi ją poznać.

Pani Bracebrydge ukłoniła się i postąpiła ku drzwiom, gdy w tem moja siostra, która dotąd stała z oczyma wlepionemi w portret, zwróciła się nagle ku niej.

— Czy pani jesteś pewną tego że miss Hilda zupełnię straciła władzę w nogach? zapytała z nienacka.

— O! najzupełniej pewną, łaskawa pani, wszakże biedaczka przez wiele lat nie wstawała wcale z sofy.

Lelgarda spojrzała na starą kobietę pół sennie, i przesunęła rękę po czole jak gdyby jakąś marą odegnać chciała.

— Więc nie mogła chodzić po domu, po innych pokojach? To było niepodobieństwem czy tak pani mówisz?

— Tak się zdaje, łaskawa pani odpowiedziała stara gospodyni, widocznie zadziwiona.

— Naturalnie, dorzuciła Lelgarda, w ten sam, pół senny sposób.—Ja sama tak myślę. nie ma więc o czem mówić.

ROZDZIAŁ V.

Duch.

Następnego rana zaledwie świtać zaczęło gdy mnie obudził lekki pocałunek złożony na mem czole, a otwierając zaspane oczy ujrzałam zwielkiem zadziwieniem Lelgardę ubraną już jak na przechadzkę: miała na ramionach pąsowy szal, na głowie czarny filcowy kapelusz z białem kapłoniem piórem, w ręku sobolową mufkę, na nogach skórzane lakierowane buciki i krótką spódniczkę, słowem była zupełnie gotową.

— Moja droga, czyś zmysły straciła? zawołałam w pierwszej chwili zdumienia.

— Ci nie mają zdrowych zmysłów co leżą w łóżku kiedy na świat taki jasny mroźny poranek zawitał, — odpowiedziała otwierając okno i wskazując na zarumienione niebo, spojrzyj tylko leniuszku, spojrzyj jak pięknie! Dalejże! pośpiesz się Joasiu, mam ochotę na ranną przechadzkę; pójdziemy na folwark i napijemy się mleka prosto od krowy.

— Zamknijże przynajmniéj okno, przez litość, — rzekłam rzucając żałosne spojrzenie na moję lodowatą kąpiel, o której ogrzaniu nie podobna było myśléć w tak wczesnéj godzinie.

— Wyśmienita jest! — zawołała Lelgarda zrozumiawszy moje spojrzenie; ja odżyłam i rozgrzałam się po mojéj. — To mówiąc odrzuciła w tył massę płowych włosów, z których krople wody spadały jeszcze na jéj ramiona.

Nie potrzebuję mówić że zrobiłam to czego żądała odemnie Lelgarda; podniosłam moje trzydziestoletnie członki z wygodnego posłania, i ubrałam się jak najśpieszniéj, rozważając w duchu co mogło znaczyć to nowe zachcenie.

— Czy źle spałaś téj nocy? — zapytałam idąc obok niéj po zbielałéj od szronu ścieżce prowadzącéj do folwarku.

— Dla tego że wstałam godziną wcześniéj niż zwykle?

— Nie odpowiadasz na moje zapytanie, zauważyłam.

Ale nie dowiedziałam się niczego więcéj; doszłyśmy do folwarku, widziałyśmy jak krowy doją i powróciłyśmy zziębnięte na śniadanie. Lelgarda chciała mnie znowu wyciągnąć po śniadaniu, ale tym razem oparłam się. — Zamęczysz się moja droga, rzekłam i uderzył mię sposób w jaki mi odpowiedziała:

— Zmęczenia właśnie szukam.

Tego dnia jednak bawiły mnie tylko jéj wybryki; ale gdy z upływem czasu nie opuszczała jéj ta dziwna niespokojność; zaczął i mnie ogarniać niewytłumaczony niepokój. Lelgarda przestała zachowywać jakikolwiek ład w rozkładzie dziennych zatrudnień; czasem spała jeszcze kiedy na śniadanie dzwoniono, czasem przed świtem była na nogach, chociaż mnie już nie wzywała żebym jéj towarzyszyła. Byłabym wolała żeby to czyniła, gdyż w takim razie mogłabym była przynajmniéj jakąś kontrolę rozciągnąć nad długością jéj przechadzek. Całemi dniami chodziła tu i owdzie, wynajdując sobie zajęcia, widocznie dla tego jedynie żeby nie spocząć ani chwili, a gdy przyszedł wieczór była zawsze tak strudzoną, że chociaż się nie poddawała, musiała w końcu uledz znużeniu i paść na fotel. To wszystko mogło być tylko podnieceniem wywołanem jéj nowym sposobem życia; ale ja z obawą spostrzegałam że była cierpiącą. Pomimo ciągłego ruchu i dalekich przechadzek straciła apetyt, ruchy jéj stały się powolniejsze, chód nabrał jakiejś niezwykłéj sztywności, a ja przypominając sobie dziecinne jéj lata, zaczęłam się lękać czy przeznaczeniem Athelstanu nie było w jaki tejemniczy sposób zgubnie na nią oddziaływać.

W tym czasie nieliczni nasi sąsiedzi zaczęli nas odwiedzać i przysyłać nam zaproszenia, już to na etykietalne obiady, już to na obiad i na noc. Te przyjęcia dla mnie były nudne i męczące, ale musiały się podobać Lelgardzie, bo przyjmowała chętnie każde zaproszenie, i zawsze była raźniejszą przez parę następnych dni, szczególnie jeżeli jednę lub dwie nocy nie przepędziła w domu.

Jednego popołudnia przechodząc przez salon do mego pokoju, spotkałam Lelgardę we drzwiach tak zwanego miss Hildy pokoju. Drgnęła jak dziecko na gorącym uczynku złapane i cofnęła się w ciemną framugę, ale ja ją zatrzymałam i zaczęłam na seryo gniewać się na nią.

— Lelgardo, rzekłam, dziecinną jesteś doprawdy żeby zawsze przesiadywać w tym smutnym i zimnym pokoju. Jeżeli chcesz go zrobić mieszkalnym, dla czegóż nie każesz go ogrzać i urządzić tak żebyśmy siadywać w nim mogły.

— Dziękuję ci za to, odpowiedziała. Co się zaś tyczy zimna, patrz!—To mówiąc włożyła swoję dłoń w moję; dłoń ta była rozpalona jak w gorączce, a gdy światło lampy twarz jéj oblało, ujrzałam że policzki miała mocno zarumienione i oczy niezwykłym ogniem błyszczące.

— A cóż, czy jeszcze myślisz że się zaziębię? — zapytała z nerwowym śmiechem w którym łzy dźwięczały. Przelękłam się na dobre.

— Dziecko moje, co ci jest? zawołałam idąc za nią do jéj sypialnego pokoju, — czy masz jakie zmartwienie? czy cię co niepokoi?..

Zamilkłam; przyszedł mi na myśl Harry Goldie.

— Cóżby mię mogło niepokoić? odparła szorstko. Chodź Joanno, już wielki czas się ubrać. — I zadzwoniła na swoję pokojówkę, widocznie rada uniknąć dalszych moich pytań.

Byłyśmy tego dnia zaproszone na obiad na probostwo. Nasz rektor i żona jego byli miłemi ludźmi i uprzejmemi sąsiadami, dla tego zawsze z przyjemnością ich odwiedzałyśmy. Tego wieczoru zastałyśmy u nich brata rektora, prawnika, który należał do sądu assyzów mającego swe posiedzenia w najbliższem mieście. Był to śniady, szczupły mężczyzna, z małemi bystremi oczkami, żywego obejścia, który mi się wydał pełen pobłażliwéj zarozumiałości, właściwéj ludziom prawnemu zawodowi poświęconym. Niebawem zauważyłam przenikliwe jego spojrzenia zwracane często na Lelgardę z wyrazem ocenienia — nie powiem uwielbienia—i przy pierwszéj zdarzonéj sposobności zajął obok niéj miejsce. Tego wieczoru ukochana moja nadzwyczaj korzystnie wyglądała: lekko zarumienione policzki i gorączkowy blask oczu sowicie wynagradzał wszystko co surowy krytyk mógł rysom jéj zarzucić. Było jéj bardzo do twarzy w lekkiéj żałobie jaką nosiła, a skromne perłowe ozdoby w uszach i na szyi wydawały się jak ona sama białe, czyste i delikatne. Nie mogłam się wydziwić jéj swobodzie obejścia w towarzystwie, pomnąc w jaki sposób była wychowaną. Była zupełnie taką jaką być jéj wypadało: skromną, nie wiele mówiącą, ale zupełnie naturalną, że bystre oko pana Seymoura Kennedy zaraz ją dostrzegło.

Po obiedzie dwaj bracia przeszli do salonu rozmawiając żywo o sprawie którą poddano pod sąd przysięgłych: głównym jéj rysem było odkrycie testamentu uważanego przez wiele lat za stracony.

— Probowano dowieść jego podrobienia,— mówił p. Seymour Kennedy,—lecz napróżno; okazał się bowiem autentycznym; wszelako w tak dziwny sposób został odkryty że za usprawiedliwione można uważać przedsięwzięte sądowe dochodzenie.

— Zapewne ciekawy fakt nagłego odzyskania pamięci nieprawdaż?

— Tak właśnie. Przybrany syn testatora, obecnie dziedzic jego majątku, ustąpiwszy już posiadłości prawnym spadkobiercom w braku testamentu, przypadkiem w innym niż zwykle pokoju się ubierał, i rzuciwszy okiem na stare biurko w kącie stojące, przypomniał sobie nagle że ojciec — tak go zawsze nazywał—do jednéj z szufladek tego biurka schował testament i jemu to pokazał. Młody człowiek o którym mowa, sześć lat miał wówczas, dziś ma blizko trzydzieści.

— Pamięć dziwne nam figle płata czasami, — rzekł na to rektor. — Dowodem tego historya opowiedziana przez Waltera Sccotta w Antykwaryuszu.

— Ja zaś — rzekł brat jego zwracając się do Lelgardy, — miałem sposobność słyszéć o podobnym wypadku odnalezienia zaginionego testamentu; lecz w tym razie szczęśliwy znalazca przekonany był że nawiedzony został przez swego nieboszczyka ojca, ktory mu we śnie objawił miejsce gdzie dokument był ukryty. Widocznie siła pamięci działała bezwiednie na uśpiony mózg.

— Tak pan sądzisz?—zagadnęła Lelgarda, a głos jéj był drżący i stłumiony. Pan Seymour Kennedy obrócił się ku niéj, i z uprzejmą grzecznością jaką niezmiennie względem kobiet zachowywał:

— Pani zapytujesz o moje zdanie?—rzekł.

Ona z widocznem wysileniem mówiła daléj:

— W tym razie było objawienie—duchowe widzenie. Czy pan to uważasz jedynie jako igraszkę pamięci?

— Widzę że pani masz w posądzeniu niewinne duchy,—odparł żartobliwie. — Wolnoż mi zapytać czy pani wierzy w nie?

Lelgarda zawahała się i mocno zbladła. Spojrzeliśmy wszyscy na nią z podziwieniem, że tak niewłaściwie bierze do serca ten przedmiot. Nagle podniosła głowę, i spojrzawszy prosto w twarz pana Kennedy, rzekła z żywością.

— Nie, nie wierzę w duchy. Nie chcę w nie wierzyć... Takie bezwarunkowe przekonanie jak pańskie, jest jak mi się zdaje zaraźliwem. Przyjemnie jest miéć tę pewność że na wszystko można znaléźć naturalną, zwyczajną przyczynę. Pan masz to przeświadczenie, wszak prawda?

Widziałam że mu pochlebiało to odwołanie się Lelgardy do jego zdania.

— Gdybyś pani przyzwyczaiła się szukać we wszystkiem oczywistości, przyszłabyś bezwątpienia do tego samego wniosku, — rzekł uprzejmie;—nerwy—złudzenie optyczne...

— O! ależ to najgorsze — przerwała Lelgarda,—najgorsza jest ta myśl że — że niewytłumaczony przestrach ma swe źródło w nas samych, w naszym własnym mózgu. Ta myśl jest nie do zniesienia, nieprawdaż?

— Tylko że na to sztuka lekarska może tylko poradzić, — odpowiedział spokojnie pan Kennedy; któż będzie się obawiał ducha, wiedząc że pewną dozą chininy lub poprostu odwarem z rumianku pozbyć go się potrafi.

— Czy w Athelstan mieszkają duchy, miss Atheling? — zagadnęła niewcześnie pani Kennedy.—Stary zamek wygląda na to.

— Choćby i tak było, — odparłam zbyt może porywczo, gdyż nie mogłam znieść tego przedmiotu rozmowy w obec Lelgardy,—spodziewam się że poczciwe duchy zachowałyby się spokojnie, w tak obszernym domu wstydziłyby się jeszcze przeszkadzać.

Oznajmiono nasz powóz i wróciłyśmy do domu. Pan Seymour Kennedy prosił nas o pozwolenie złożenia nam nazajutrz swego uszanowania.

— Jakże ci się podobał Lelgardo? — zapytałam jéj przy śniadaniu dnia następnego.

— Bardzo—odrzekła bez wahania.—A tobie nie?

— Nie bardzo; uważam że zbyt jest ulegający dla przypodobania się damom.

— Nie jestże to z jego strony dowodem uprzejmości Joasiu?

— Zepewne; lecz on zdaje się myśléć: bądź sobie gąską, bo mi się tak najlepiéj podobasz. Wszystko w żart obraca, i nigdy na stopie równości nie rozmawia z kobietą. Nie,

nie podobał mi się pan Seymour Kennedy.

— Jednak posiada umysł silny i jasny, i słuchać go przyjemnie,—rzekła siostra moja z westchnieniem, a ja bacznie na nią spojrzałam.

— Dobrze dziś wyglądasz kochanko moja, zauważyłam z zadowoleniem. W istocie, cerę miała zdrowszą, oczy jej jaśniały zwykłym łagodnym blaskiem, jadła z apetytem i pewną ręką trzymała imbryczek. Były to wszystko pomyślne symptomata, które mię szczerze cieszyły.

— O! bo dziś tak dobrze spałam! — odrzekła wesoło.

— Czy nie zawsze dobrze sypiasz?—zapytałam uderzona tém przypuszczeniem.

— Jeżeli to się trafia,—odpowiedziała wesoło, — to zapewne z braku chininy lub odwaru z rumianku, tego uniwersalnego lekarstwa — a nucąc jak ptaszek, poskoczyła od stołu, i wziąwszy mię pod rękę, pociągnęła z sobą na podwórze. Jedną z nielicznych ludzkich słabości nieboszczki miss Eteldredy było upodobanie w drobiu, a Lelgarda wstępując pod tym względem w jej ślady, lubiła sypać ziarno całej wrzaskliwej gromadzie, i weszło w zwyczaj żeśmy po śniadaniu zawsze półgodzinki lub więcej przepędzały na podwórzu. Po nakarmieniu wychowańców Lelgardy, wracałyśmy do siebie, gdy w tem siostra moja przypomniała sobie jakiś interes do pani Bracebridge i zawróciła do oficyny. Z sieni dochodziły gniewne głosy, a Lelgarda w obawie aby nie trafić na jaką domową wojnę, stanęła spoglądając pół gniewnie, pół żartobliwie.

— Życzyłabym aby ani jedno słowo więcej w tym przedmiocie wymówionem nie było w domu — mówił uroczysty głos pani Bracebridge—są to niedorzeczne przywidzenia, albo po prostu kłamstwa, jak ci się lepiej podoba, panno Betsy Jane.

— Nie ja jedna tylko widziałam, niech się pani zapyta Heleny — odrzekł żałosny głos z wyrazem obrażonej niewinności.

— A po co Helena włóczyła się o tak późnej godzinie? — zarzuciła gospodyni. — Zapewne szła na dół po swoję książkę do nabożeństwa? Znamy się na tem. A co wam obudwom po książkach do nabożeństwa, jeżeli się z nich nie nauczycie co lepszego jak osławiać w taki sposób dom swoich państwa.

— Ja bynajmniej nie osławiam domu moich państwa, jak pani mówi. Ale choćby mi głowę położyć przyszło, powiem żeśmy widziały białą postać idącą po schodach w galeryi; nadto, że ta postać zdawała się wychodzić z pokoju miss Hildy.

— I znikła właśnie w tym zakręcie gdzie jest pokój miss Atheling, to jest prawda; ale nie przyszło mi na myśl żeby było zbrodnią mówić o tem, — przemówił inny, równie płaczliwy głos.

— Jakób tylko mówił o białej damie która się zawsze wtenczas pokazuje kiedy głowa rodziny ma wkrótce umrzeć.

— Co? i Jakób także widział? — zapytała porywczo pani Bracebridge.

— Niech pani Pan Bóg przebaczy to co pani mówi. Skądże ja mogę wiedzieć co widział lub nie widział Jakób?

— Dobrze, dobrze, pilnujcie waszej roboty, a nie wdawajcie się w gawędy z mężczyznami, to jak mi Bóg miły nie będziecie widziały żadnych białych postaci; a ostrzegam was, że jak jeszcze raz co podobnego usłyszę, to jedna i druga miejsce stracicie.

Łajanie i mruczenie ucichło wzdłuż korytarza, a ja ze śmiechem obróciłam się do Lelgardy: jakież było moje przerażenie gdy ujrzałam że siostra moja, osunąwszy się na kamienną ławkę w sieni, leżała bez zmysłów!

ROZDZIAŁ VI.

Jeszcze o duchu.

Długi czas upłynął zaczem zdołałam z pomocą pani Bracebridge przywrócić do przytomności Lelgardę; i z uczuciem prawdziwej ulgi ujrzałam przy jej łóżku doktora po którego posłałam natychmiast. Zadał kilka pytań, przepisał coś uspakajającego, zalecił spoczynek, i zapewnił nas że nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo; lecz zostawszy sam ze mną zapytał mnie czy siostra moja nie doznała jakiego moralnego ciosu, lub nerwowego wstrząśnienia. A gdym mu opowiedziała historyą słabości jaką w dziecinnych latach przebyła, rzekł mi że tem większej teraz potrzeba troskliwości.

— Nie mówię żeby to było co niebezpiecznego,—dodał, — ale miss Atheling znajduje się w stanie mocnego nerwowego podrażnienia, i potrzebuje ciągłego towarzystwa, przyjemnego zajęcia, rozrywki, umiarkowanego ruchu, — a dawszy jeszcze niektóre wskazówki co do dyety, opuścił Atelstan.

Łatwo było zalecać rozrywki i towarzystwo, trudniej go znaleźć. Sąsiedztwa były nieliczne, z tych mała tylko cząstka miała przywilej uczęszczania do szlachetnego Athelingów domu; my zaś osobiście nie miałyśmy przyjaciół którychbyśmy mogły z dalszych stron sprowadzić dla rozweselenia domu naszego. Los okazał nam się w tym razie, do pewnego stopnia przychylnym, pan Seymour Kennedy bowiem, zaczął każdej niedzieli przyjeżdżać na probostwo, chociaż dla przepędzenia tych kilku godzin na wsi musiał dwukrotną nocną podróż odbywać. Utrzymywał że go wabiło świeże powietrze i spokojność wiejska, ale ja podejrzywałam że młoda dziedziczka Athelstanu, nie obcą była temu sielskiemu upodobaniu. Zaczął nas odwiedzać każdego niedzielnego po południa, i nie mogę zaprzeczyć iż przynosił z sobą trochę życia i jakieś weselsze tchnienie z zewnętrznego świata. Ja jednak nie mogłam się do niego przekonać ani go polubić, i z podziwieniem widziałam, że Lelgarda coraz jawniej nim się zajmowała. Za naszych Londyńskich czasów bawił mię jej entuzyazm, chociaż go nie zawsze podzielałam; żywe zajęcie z jakiem oboje z Harrym Goldie rozprawiali o muzyce i malarstwie, rozjaśniało najposępniejsze nawet mgły Listopadowe; a tu miałam przed sobą człowieka zimnego, sceptycznego, w którego każdem dowodzeniu czuć było pewne szyderstwo, i który osobliwszy wpływ na Lelgardę wywierał. Za jego przyjściem dziwnie się rozpromieniała, a gdy dłużej niż zwykle widać go nie było, smutniała widocznie.

Było to przy końcu Marca. Jednego dnia od samego rana dął wiatr zimny, deszcz bezustannie w szyby trzepał, drzewa trzeszczały, z kominów dobywały się różne tony, szkaradne błoto pokryło wszystkie ścieżki i drogi. Słowem była pogoda na jaką, jak się mówić zwyło, psa trudno na dwór wypędzić. Lelgarda widocznie doznawała wpływu tej niepogody: była znękana, a jednak niespokojna, i niczem zająć się nie była w stanie.

— Co za czas! i co to będzie za noc! — rzekłam po długiej chwili milczenia.

Lelgarda zerwała się z sofki na której leżała i pospieszyła do okna.

— Rzeczywiście noc będzie okropna, potwierdziła dreszczem przejęta; — czy ten deszcz nigdy lać nie przestanie? o! i wiatr zrywa się jeszcze gwałtowniejszy!

— Nie stój przy oknie Lelgardziu, — rzekłam — pójdź lepiej do ognia.

Ona przybliżyła się do kominka i postała przy nim przez chwilę, potem pomruknęła kilka słów których nie dosłyszałam i wyszła z pokoju.

Może w godzinę później, drzwi zwolna się uchyliły i przepuściły panią Bracebridge. Twarz zacnej gospodyni wyrażała kłopotliwe zaniepokojenie.

— O! przepraszam panią, miss Smith, — rzekła z ukłonem, sądziłam że moja pani już wróciła.

— Ona wcale nie wychodziła.

— Przepraszam panią, wyszła przed godziną może — nie wierzyłabym może własnym oczom, ale Jan który właśnie przyszedł po torbę pocztową, spotkał ją na drodze do Trembletonu. Zapewne miss Atheling pierwszy raz w życiu wychodzi z domu na taką pogodę.

— Osłupiałam. Co jej przyszło do głowy? Nie dowierzając jednak jeszcze, pobiegłam do jej pokoju. Był pusty, a pani Bracebridge wskazała mi przy gotowalni na ziemi jej pantofelki a na łóżku fartuszek. Nie było wątpliwości że wyszła z domu,...

— Trzeba przynajmniej zapobiedz aby się nie zaziębiła — rzekłam rozdmuchując ogień. Źle zrobiła narażając się na taką słotę, od pewnego czasu bowiem znacznie zmizerniała.

— Wistocie — potwierdziła pani Bracebridge, a zniżywszy głos dodała z pewnem wahaniem: — przepraszam panią, ale — spodziewam się że nikt ze służby nie pozwolił sobie nudzić mojej pani powtarzaniem swoich niedorzecznych urojeń.

— Co do owych historyj o duchach? — rzekłam uśmiechając się, gdyż poprzednio już mówiłyśmy w tym przedmiocie z poczciwą gospodynią. — Musiała coś o tem usłyszeć owego dnia kiedy zemdlała, ale od tego czasu nigdy o tem nie wspomniała. Dla czego pani o to pytasz?

— Muszę pani powiedzieć — mówiła dalej staruszka zniżonym głosem, — że ciągle o tem gadają, i nie w mojej mocy jest usta im zamknąć. Dziewczęta utrzymują, że prawie co noc można widzieć białą postać snującą się pomiędzy sypialnią mojej młodej pani a pokojem biednej miss Hildy.

— W starych jak ten domach często krążą popobne baśnie. Zapewne istnieje tu jakie dawne podanie o białej damie, nieprawdaż?....

— One koniecznie chcą mię przekonać o prawdzie swoich opowiadań. To tylko mogę powiedzieć, że poprzednio nie słyszałam o niczem podobnem, żeby to zaś miał być duch miss Hildy?.... nawet nie wypada coś podobnego przypuszczać. Dzieje się tu jednak coś dziwnego, i — i ja sama zaczynam w to wierzyć...

— Czyś pani na własne oczy widziała białą postać? — zapytałam.

— Nie mogę temu stanowczo zaprzeczyć, ale ponieważ w tej chwili właśnie przechodziłam przez górną galeryą, mignęło mi się tylko coś białego.

Starowina zapewne zemknęła na pierwszą myśl o duchu; i prawdopodobnie wszystkie dziewczęta tak samo czyniły, gdyż skorom przystąpiła do badania, nikt nie umiał mi dać innego objaśnienia jak tylko że tajemnicza postać odziana była podług mody przez duchy przyjętej — zupełnie biało.

— Czy nikomu nic nie zginęło? — zapytałam ze sceptycyzmem któregoby się sam p. Seymour Kennedy nie powstydził. — Nie? Bądźcie więc pewne że ktoś się waszym kosztem bawi. Najlepiej zrobicie nie zważajac na to, tym sposobem same zażartujecie ze sprawcy tych niedorzecznych figlów.

Tu dały się słyszeć kroki na schodach i Lelgarda otworzyła drzwi. Drgnęła gwałtownie zobaczywszy parę osób w swoim pokoju. Była z ziębnięta i blada, włosy deszczem zmoczone przylegały jej do skroni, z sukien ała się woda, kapelusz był zupełnie rozmiękły.

Nie tracąc czasu na próżne słowa, z pomocą pani Bracebridge przebrałam ją w ciepły flanelkowy szlafroczek, i posadziwszy ją w wygodnym fotelu przy kominku kazałam jej przynieść gorącej herbaty. Dopiero gdy gospodyni się oddaliła, zapytałam jej surowo co znaczyła ta osobliwsza wycieczka.

— Nie gniewaj się Joasiu,—rzekła odwracając głowę. — Chodziłam tylko do Trembletonu dla załatwienia drobnego sprawunku.

— Jak gdybyś nie miała kogo posłać—nie licząc pocztowego posłańca. Zasłużyłaś żeby ci dać rózgą i położyć cię do łóżka.

— Daj mi rózgą jeżeli chcesz,—rzekła ze smętnym uśmiechem;—tylko przez litość nie kładź mię do łóżka. Nienawidzę łóżka, nienawidzę nocy. A tu już się sciemnia.

— W porządku rzeczy następuje przedewszystkiem obiad,—rzekłam dzwoniąc na pokojówkę, i odeszłam zaniepokojoną jej dziwnem postępowaniem, i w ogóle obrotem jaki przybierały rzeczy.

Tego wieczoru późno w noc czuwałyśmy, gdyż Lelgarda nie chciała położyć się do łóżka.

— Ktoby mógł usnąć,—mówiła, — podczas gdy taka burza szaleje na dworze?

Było już około północy gdy jej powiedziałam dobranoc i odeszłam do mego pokoju znajdującego się trochę dalej w tej samej galeryi. Już miałam się kłaść do łóżka i chciałam nakręcić mój zegarek, gdy spostrzegłam że stanął. Pomyślalam wtedy że będę mogła po cichu wśliznąć się do pokoju mej siostry, i nie obudziwszy jej zobaczyć która godzina na stołowym zegarze stojącym u niej na kominku. Ponieważ długo bardzo się rozbierałam, pewną byłam że musi już spać. Otworzyłam zatem ostrożnie drzwi i weszłam na palcach, lecz jakież było moje zdziwienie gdy na przeciwko mnie stanęła Lelgarda w rannym szlafroczku z miną tak przerażoną, jak gdybym ja popełniła czyn nieprzebaczonego zuchwalstwa wchodząc do niej bez oznajmienia.

— Przepraszam cię, — rzekłam zmieszana tem dziwnem jej znalezieniem się, i już miałam się tłumaczyć po co przyszłam, gdy wzrok mój padł na przedmiot który usiłowała ukryć przedemną.—Lelgardo,—zawołałam, na co ci ta flaszka opium?

— Nie myślę sobie życia odbierać, bądź spokojną,—odrzekła z przymuszonym usmiechem — chciałam tylko sprobować usypiających kropel pana Piecrofta.

— Nie igraj z tak niebezpiecznemi narzędziami, dziecię moje. Skąd wiesz jaką dozę tego narkotyku zażyć można bez obawy?

— Aptekarz z Trembletonu objaśnił mię pod tym względem.

— Z Trembletonu! Lelgardo moja, czyż ten był cel dzisiejszej twojej wycieczki?

— Przebacz mi, najdroższa Joasiu — wyjąkała lękliwie; — doprawdy tak mniej mi to zaszkodzi niż taka noc jaka mnie czeka bez tego. Słuchaj!

Silniejszy powiew wiatru zatrząsł szybami, ona wzdrygnęła się jak gdyby ją na wskróś przejął, i sięgnęła po flaszkę. Ja ją uprzedziłam i wrzuciłam flaszkę w ogień. Lelgarda się rozpłakała.

— Jesteś okrutną. Sama nie wiesz coś uczyniła, mówiła łkając gwałtownie.

Widząc że tu idzie o coś ważnego, postanowiłam koniecznie zbadać tę tajemnicę.

— Lelgardo,—rzekłam z tkliwą stanowczością,—to prawdziwe szaleństwo, a gorsze jeszcze szaleństwo przez szkodliwe przyzwyczajenie chcieć uniknąć trochy nerwowego niepokoju lub bezsenności. Sama nie wiesz co czynisz. Czy nigdy nie pomyślałaś że to źle?

— Więc to źle doprawdy? rzekła padając na krzesło znękana i rozżalona. Więc muszę cierpieć koniecznie? Więc grzechem jest probować uniknąć tej męczarni? Niechajże Bóg ulituje się nademną bo niemasz pod słońcem nędzniejszej odemnie istoty.

— Alež jakież jest twoje cierpienie, najdroższa moja? Mnie przecie wszystko możesz powiedzieć.

Wstrząsneła głową przecząco.

— W każdym razie przyrzeknij mi że nie będziesz więcej w tak szalony sposób igrała ze swem zdrowiem.

— Dobrze,—odparła nagle, spoglądając na mnie obłąkanym prawie wzrokiem; uczynię co zechcesz; ale ty odpowiesz za skutki. Jeżeli ja, pozbawiona wszelkiej ulgi, zostanę do ostatniej rozpaczy przyprowadzona, twoją to będzie winą.

A w oczach jej podczas gdy to mówiła, był wystraszony wyraz ściganego zwierzęcia, który mi boleśnie przypomniał jej dziecinne lata. Przelękłam się okropnie, ale zapanowałam nad sobą, i przemówiłam do niej w sposób spokojny i poważny, który zawsze skutecznie na nią wpływał.

— Bredzisz moja droga; nikt nie myśli ci dokuczać ani cię niepokoić. Pójdź, nie rozłączymy się na tę noc. Czas już wielki abyśmy poszły spać — ale pierwej opowiedz mi wszystko co cię dręczy — te straszne marzenia — czy bezsenność — czy co innego?

Wstrząsnęła głową i milczała przez chwilę; potem nagle zawołała:

— Niech i tak będzie — narażę się na to abyś mi powiedziała że to wszystko jest urojeniem i niedorzecznością — wolę to nawet. Usiądź tu Joasiu — tu bliżej — jeszcze bliżej — opowiem ci wszystko.

ROZDZIAŁ VII.

Spowiedź Lelgardy.

Lelgarda posadziła mnie w dużem poręczowem krześle, a sama usiadła przy nogach moich na małym stołeczku, w taki sposób abym twarzy jej widzieć nie mogła. Te przygotowania trwożyć mię zaczynały. Co ona mi powie? Pierwsze jej słowa zadziwiły mnie.

— Joasiu, — rzekła, — gdyśmy owego wieczoru na probostwie rozmawiali o duchach, ty żartem tylko coś powiedziałaś. Powiedz na seryo co o tem myślisz?

— Na seryo myślę, moja droga, że niepotrzebniebyśmy sobie tem głowę zaprzątały, kiedy nie ma żadnego prawdopodobieństwa abyśmy kiedykolwiek byli nawiedzonemi.

— A gdybyś ujrzała ducha, cobyś pomyślała? cobyś uczyniła?

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Niektóre uwagi pedagogiczne ze stanowiska elementarnego.

Jeżeli nauka i wychowanie mają przynieść błogie owoce, wpłynąć na podniesienie i utrzymanie dobrego ducha szkoły, samym zaś nauczycielom i nauczycielkom ułatwić i osłodzić ich mozolną pracę, to uczący powinni znać pewne środki, które ułatwiają im pracę,— dzieci zaś utrzymują w pewnych karbach, pewnym porządku, pewnych przepisach i prawach, bez których żadne społeczeństwo, żadne stowarzyszenie, żadne zebranie obejść się nie może.

Na samym zaraz wstępie do izby szkolnej dziecko dowiaduje się co mu czynić wolno a czego nie wolno. Dziecko dobrze wychowane, przez rodziców dobrze kierowane, będzie się starało według tych przestróg i rozporządzeń zachować, wszelkie polecenia wypełniać; dziecko zaś źle wychowane, wszelką swobodę w domu mające albo wcale nie wychowane, ale tak sobie według pewnych praw przyrodniczych do pewnego wieku, jak dzikie drzewko wyrosłe, albo nie będzie wcale na

te przepisy zważało, albo starało je się co chwila ominąć lub z pod nich wyśliznąć. Takie przepisy czyli prawa szkolne powinny być krótkie, zastosowane do pojęć dziecka, miejscowości i innych okoliczności, i powinno ich być jak najmniej. Wszystkie zaś powinny mieć za podstawę: *uwagę* i *posłuszeństwo*. Tak jak cała nauka religii i moralności zawarta jest w tych dwóch kardynalnych przykazaniach: Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego swego jak siebie samego, — tak wszystkie przepisy szkolne i postanowienia mają za podstawę owe dwa wyżej przytoczone przykazania szkolne. Zadaniem więc będzie każdego nauczyciela, wszelkich dołożyć starań aby jedno i drugie było widoczne w zakresie jego działania.

Pomówmy najprzód o *uwadze*. Bez uwagi czy nauczyciel ma z jednem, dziesięcioma, czy stu dziećmi do czynienia, wszelka praca będzie bezskuteczna, wszelkie jak najlepsze chęci staną się daremnemi. Dla tego pobudzanie do uwagi i jej zaostrzenie jest jednym z najważniejszych czynników w utrzymaniu szkoły na stanowisku jej zakreślonem. Wszakże nie potrzeba do tego wielkiego mistrzostwa, ile znajomości pewnych sposobów, któremi nauczający może i powinien się posługiwać, przedewszystkiem zaś cokolwiek znajomości praw przyrodzonych ducha i ciała małych dzieci.

Właściwością usposobienia duchowego i fizycznego każdego dziecka jest *ruchliwość* i *pociąg do nowostek*. Jednostajność i zatrzymanie się dłuższe przy jednym przedmiocie prędko nuży dziecko i wprawia je w umysłowe odrętwienie; przeciwnie zaś, rozmaitość zachwyca je, pociąga i wprawia w ruch umysłowy i fizyczny. Trzeba je więc urozmaiceniem zająć. Nie może zaś być mowy o rozmaitości przedmiotów, bo liczba tych w szkole początkowej jest bardzo ograniczona, ale raczej o zmiennem ich zastosowaniu i odmiennej w użyciu formie. Jakkolwiek usposobienie z natury i takt pedagogiczny nauczyciela odgrywają tu główną rolę, wszelako są niektóre dane, oparte na doświadczeniu i praktyce, z któremi mu się zapoznać należy. Zwracamy przeto uczących i uczące na owe środki, któremi się mogą posłużyć, celem wzbudzenia i utrzymania między dziećmi uwagi.

Jak już wyżej powiedzieliśmy, głównemi środkami są tu częste zmiany i to tém częstsze im mniejsze dzieci mamy przed sobą. Środkami zaś temi będą, to różne ruchy, na jakie przestrzeń szkolna i okoliczności pozwalają. Siedzenie przydłuższe na jednem miejscu wprawia i ciało i ducha dziecka w uśpienie, niemoc, w pewien rodzaj obojętności. Ażeby to usunąć, trzeba dziecku dać sposobność do poruszania swojem ciałem i do zmiany miejsca. Nie mówimy tu już o większych ruchach dokonywanych podczas pauzy, na wolnem powietrzu, ten tylko w izbie szkolnej i śród nauki.

Trudno byłoby wszystkie manewra oznaczyć, jakiemi można dzieci w ruch i życie wprawić, zmyślny wychowawca sam dużo wynajdzie i według okoliczności doda: my tylko wskażemy na niektóre.

Znużenie, ociężałość i brak uwagi można potem poznać, że dzieci albo mylnie, albo wcale nie odpowiadają, Praca nauczyciela staje się tedy daremną a czas stracony. W takim razie niech nauczyciel jak na komendę, każe wykonywać następujace ruchy: „Wszyscy wstać! wszyscy usiąść! chłopcy wstać! chłopcy usiąść! dziewczęta wstać! dziewczęta usiąść! (przypuszczamy; że jest szkoła różnopłciowa) pierwsza ława wstać! usiąść! prawa ręka do góry! lewa ręka do góry! obydwie ręce do góry! na prawej nodze stać! na lewej nodze stać! obrócić się wtył! na prawo! na lewo! sami chłopcy! same dziewczęta! miejsca zmienić! zająć swoje miejsca! bić w dłonie (klaskać)! sami chłopcy! same dziewezęta! itd. itd. i któż wyliczy wszystkie owe ruchy i figle, jakie nauczyciel może wymyślić, dla ożywienia umysłu dzieci, pokrzepienia ich ciała i wprawienia ich w wesołe usposobienie.

Wszystkie te rozrywki, które mogą trwać parę minut powinny być wykonywane wesoło i swobodnie, lecz bez wszelkiego nieporządku, wrzasku i swawoli. Tego powinien nauczyciel bardzo przestrzegać a przy zdarzonym wypadku jakiegoś wybryku, surowo zganić a nawet ukarać.

Dzieci można i do tego przyzwyczaić, żeby ćwiczenia te robiły bez głosu nauczyciela czy nauczycielki, a tylko za daniem niemych znaków, ruchami swych rąk i w ogóle całego ciała. Ruchy te i ćwiczenia przedewszystkiem *letnią porą* zalecać należy, gdy dzieci siedząc skupione w jednej sali, śród duszącego już na zewnątrz powietrza, łatwo w ospałość i nieuwagę wpadają.

Prócz powyższych można dzieciom także kazać zaśpiewać jaką piosnkę lecz krótką, jednozwrotkową; sami chłopcy, same dziewczęta—wszyscy razem.

W czasie tych i tym podobnych zabaw i rozrywek nauczyciel ma sposobność badać i zauważać objawiające się usposobienie każdego dziecka. U zepsutych dzieci, tj. takich które przez zły przykład i skrzywione wychowanie nabrały narowów, obiawia się *w grach i różnych swobodnych chwilach najwydatniej ich charakter*. Złośliwe dziecko będzie miało w tem upodobanie, żeby wyrządzać swym towarzyszom ciągłe psoty i przeszkadzać im w zabawach. Gdy zaś szkoła nie tylko ma za cel przyswoić dziecku pewne wiadomości, ukształcać jego rozum ale nadto i serce, i tak przygotować je do życia poza szkołą, to niech nauczyciel korzysta z każdej sposobności i stara się przez wpływy moralne usunąć w samym zarodzie dostrzeżone wady. Dziecko absolutnie nie jest złe, a przynajmniej nigdy tak złe, aby się nie dało poprawić, jeżeli tylko wcześnie zwracamy na nie baczną uwagę.

Przy tem wszystkiem powinien panować w szkole porządek i ład; jedno drugiemu powinno ustępować i jedno z drugiem się schodzić jak kółka w zegarze. Dzieciom nie należy pozwalać samowolnie wychodzić, po szkole biegać, z jednej ławki do drugiej się przesiadać lub pod żadnym warunkiem wskazane sobie miejsce zmienić. Nauczyciel jest owym głównym regulatorem, ową sprężyną, ową parą, wszystko w odpowiedni ruch w prawia porusza i pędzi.

Drugą niezbędną cnotą każdej szkoły powinno być: *posłuszeństwo dzieci względem swego nauczyciela*. Posłuszeństwo jest duszą wychowania. Dla tego powinno dziecko bardzo wcześnie być do niego przyzwyczajane i mieć to z głębi serca płynące przekonanie, że względem rodziców i nauczycieli ma obowiązek jak najsumienniejszego posłuszeństwa. Nieposłuszeństwo powinno w jego oczach wydawać się jako coś nader złego i w dziecku niezwykłego.

Gdzie nie ma posłuszeństwa i to wypływającego z moralnych pobudek, w takiej szkole napróżno byśmy błogich owoców wychowania szukali; nie można się wiele spodziewać od nauczyciela elementarnego, który nie potrafi posłuszeństwa wynikającego z przywiązania i miłości ku sobie wzbudzić. Dzieci powinny w swym nauczycielu widzieć i ojca i opiekuna i dobrodzieja — być dla niego z największym szacunkiem, mieć ku kiemu miłość i nieograniczone zaufanie. Naczyciel powinien wpoić w nie to przekonanie że spełnianie wszystkiego co mają sobie polecone, wychodzi im na bobre i przynosi im szczęście i pożytek.

Gdzie jest takie przekonanie tam będzie i posłuszeństwo. Własność zaś ta rozwija się w dzieciach i ukształca nie tylko przez to, że posiadają miłość ku swemu nauczycielowi, ale nadto jeszcze szacunek, i jak wyżej powiedzieliśmy nieograniczone zaufanie. Taktownem postępowaniem więc i obchodzeniem się z dziećmi, najwięcej wyrabia się obowiązek posłuszeństwa.

Wszystko co nauczyciel zaleci powinny dzieci święcie wypełniać. Ze swej strony zaś powinien się nauczyciel gruntownie namyślić, zaczem wyda polecenie, czy dzieci są wstanie to wykonąć. Jest to punkt przy którym nauczyciel powinien wprzód gruntownie się namyślić. Jeżeli bowiem to co nauczyciel nakazał lub zakazał, przechodzi ich siły i możność wypełnienia lub wstrzymania się od czego, a dzieci tylko z tej przyczyny jego rozkazów lub zakazów nie spełniały, w takim razie niech sobie sam winę przypisze. Nie było to już nieposłuszeństwo ale *niemożność*, z takiej zaś niemożności spełnienia poleceń, wyradza się obojętność, opieszałość, a w końcu nieposłuszeństwo i *upór*,

Co nauczyciel raz powie powinien tego święcie dotrzymać. Widząc dzieci że nauczyciel lub nauczycielka są nieugięci w swoich wymaganiach, będą się starały do nich zastosować. Wszakże może i nauczyciel czasem przez prędkość i brak namysłu zrobić uchybienie, wymagając czegoś od dzieci, co sięga po za obręb ich możności. W takim razie należy dzieciom okazać względność, ale *nigdy się zupełnie* nie cofać, zadawalniając się tem, co i jak dzieci zrobiły, nie dając im wszakże poznać, że sam gruby błąd pedagogiczny ustrzelił. Nauczyciele nie taktowni, gwałtowni, często zapowiadają dzieciom coś takiego nad spełnieniem czego na seryo nie pomyśleli, dzieci zaś nie byłyby w stanie to wypełnić. Takie postępowanie bardzo niekorzystnie wpływa na posłuszeństwo i cały nastrój duchowy szkoły, lepiej przeto mniej zapowiedzieć, mniej zadać, mniej wzbronić, ale ściśle przestrzegać tego, aby zapowiedziane,

zadane, zakazane, było jak najsumienniej spełniane.

Wszelkie zaś wyłamywanie się dziecka z pod rozkazów nauczyciela, nauczycielek, ojców i matek powinno być w pierwszym zaraz zarodzie przełamane, surowo skarcone, jeżeli nie ma wyrość na podobę dzikiego drzewka, ktoreby póżniej wydawało niesmaczne i gorzkie owoce. Ostatnią uwagę zwróciliśmy mianowicie do rodziców, słysząc jak dzieci prowadzą z samej młodości i patrząc się codziennie na zupełnie opaczne wychowanie a zwłaszcza chłopców. Mówimy wychowanie powiedzmy raczej układanie według pewnych formułek do nabrania pewnych manier, któreby ich przedstawiały światu jako młodzieńców *przyzwoitych*. Młodzieniec przyzwoity a niech będzie jeszcze i *bardzo*. to ma określić najwyższy szczyt dobrego wychowania. Młodzieniec przyzwoity jest to ogólna nazwa dla niemałej liczby młodzieży ubierającej się i fryzującej podług najnowszej mody, i zasługującej no to samo określenie, jakiego przed niedawnym jeszcze czasem powszechnie używano: młodzieniec ten jest *dobrze*, bardzo dobrze. Definicya tylko zmieniona, istota rzeczy została ta sama.

Dla tego też zwracamy się do was nauczyciele i wychowawcy młodzieży naszej, wpajajcie w dzieci opiece waszej powierzone, od pierwszej chwili przestąpienia przez próg szkolny, przejęcie się obowiązkiem posłuszeństwa i przyjmowanie do serca rad i nauk waszych. Starajcie się ze starodawnych zasad wychowania zatrzymać to, co uszlachetnia serce i umysł człowieka, i przyzwyczaja go do posłuszeństwa względem Boga, własnego sumienia, bliźniego i prawa.

Nowoczesna pedagogika odrzuca tylko owe niewolnicze krępowanie woli i ducha ludzkiego, jakie w dawnjejszych szkołach panowało, lecz z prawdziwą tęsknotą ogląda się za ową starodawną cnotą posłuszeństwa jaśniejącą w rodzinnem życiu. Posłuchajmy najnowszych pedagogów, jak oni biadają już dzisiaj i wyciągają ręce ku minionym podstawom uszanowania i posłuszeńswa w familii i w szkole.

Antoni Celichowski.

LISTY O WYCHOWANIU.

Dzieci, nie rozumieją się na sztuce dyplomatycznej i częstokroć, przypomną sobie tę lub ową rozmowę, i w najniewłaściwszej ją porzę przytoczą. Tak się raz zdarzyło w pewnym znajomym mi domu: Matka powracając póżno z wizyty w sąsiedztwie, zapytana przez męża i domowników, jak się bawiła, odpowiedziała z niechęią: „Dajcie mi pokój, zmęczona jestem i zgłodniała, na wieczerzę podano potrawy, których jeść nie mogłam, bo wszystko było żle przyrządzone!“ Chłopczyk sześcioletni, śpiący w tymże pokoju, przebudził się i posłyszał rozmowę; a po niejakim czasie, gdy owi znowu sąsiedzi, przyjechali z rewizytą, malec po przywitaniu w te słowa się odezwał: „Czy też to pięknie żeby moję Mamę tak zgłodzić? Daliście paskudną kolacyę i Mama mało z głodu nie umarła!“

Stosunki przyjazne łączące węzłem przyjaznym oba te domy, zerwane zostały na zawsze.

Chłopczyk obity został przykładnie rózgami, skazany na post i zupełne dwutygodniowe milczenie. Ale kogo by jednak należało ukarać właściwie? Przedewszystkiem otóż chyba Mamę, która nie zastanawiając się, lekkomyślnie objawiała zdanie — nie zdała sobie sprawy z następstw wyniknąć mogących. Czy więc nie lepiej by było urządzić w każdym domu, pokój oddzielny dla dzieci, gdzieby mogły swobodnie bawić się, biegać i krzyczeć, nie przeszkadzając nikomu, nie podsłuchując rozmów starszych; gdyż wierzajcie mi, dziecię z natury jest tylko dzieckiem, rozwijającem się fizycznie i moralnie, czujące się swobodnie w swojem tylko żywiole, a którym bez wątpienia jest tylko zabawa zastosowana do wieku. Trzymając dzieci zawsze przy sobie, nie można im dozwolić swobody takiej, jakiej by użyły w swoim pokoiku; każecie im siedzieć cicho i spokojnie; odbieracie zabawki gdy robią niemi szelest; a tym sposobem sami zmuszacie je, do podsłuchiwania waszych rozmów i powtarzania takowych. Dziecięcą natura, dąży do ruchu; odbierając im zajęcie, zmuszacie je zwracać uwagę na co innego, a to inne, jest właśnie najzgubniejszym pokarmem.

Przyjmujecie ludzi obcych, którym przecie, nie możecie nakazywać milczenia w obecności dzieci waszych; ci ludzie wszczynają rozmowę nie stosowną do ich wieku i pojęć, a jakiż jest natenczas sposób, do ustrzeżenia dziatek od tych szkodliwych wiadomości, zatruwających niewinne serduszka i nieskażoną wyobrażnię? Środkiem jedynym jest, odsyłanie dzieci podczas wizyty do ich pokoju, i chociażby one tam wszystkie meble i stołki i podłogę nawet, skokami i zabawą zepsuły, mniej to złe od wczesnego obznajamiania z niewłaściwemi rozmowami starszych.

I ty, młoda matko, zachodź często do tego raju dziecinnego, do tego pokoju, gdzie wprawdzie, kobierców i miękkich siedzeń nie znajdziesz, ale gdzie za to, przywitają cię rumianne i śmiejące się twarzyczki, gdzie każde dziecko z radością pokazywać ci będzie nową zabawkę, opowiadać o swych zabawach prosząc, abyś w nich udział przyjęła. Wejdź tam, a za powrotem odpowiesz mi szczerze, czy pokój oddzielny dla dzieci, nie jest prawdziwym przybytkiem szczęścia i ciągłej wesołości, i czy nie jesteś wynagrodzoną a pozbawienia się oddzielnego buduaru, lub mąż twój za odstąpienie na ten cel, swego gabinetu.

VI.

Wspomniawszy o owym sześcioletnim chłopczyku, tak srogo za swą gadatliwość ukaranym, nie mogę pominąć ważnej kwestyi karania dzieci.

Jeżeli mam szczerą prawdę wyznać, to zdaniem mojem, wszystkie kary, a szczególniej cielesne, są okrucieństwem; pastwieniem się nad słabemi istotami, najzupełniej od nas zależnemi; a jakaż z nich korzyść? Odpowiecie mi słowami starego elementarza „Różczką Duch Święty, dziateczki bić każe; różczką nikomu w zdrowiu nie zawadzi!“ i t. d. „Prawda, że od kilku razy zadanych ręką lekką, nikt nie umarł, nawet nie zachorował, ale czy zdrowie duszy na tem nie postradało? Kwestyę tę należy bliżej rozpatrzeć.

Otóż najmocniej jestem przekonaną, że rózga, wypędzając kaprysy i upór, wygania też uczucie wstydu i szlachetności, zabija wszelkie wzniosłe uczucia, i robi z dzieci zwierzęta, lękające się razów i krzyku, a nie złego postępku.

Odpowiecie mi szanowni czytelnicy, że za dziadów i pradziadów, po szkołach, byli oddzielni pachołcy od wymierzania kary cielesnej, przytoczycie mi zdanie ogółu, że dawniejsze pokolenia były moralniejsze i szlachetniejsze niż teraz—jednem słowem, przytoczycie mi, nieskończoną ilość, ludzi genialnych, którzy byli ozdobą swego wieku, a których teraz nigdzie nie dostrzegamy. To prawda, ale odpowiedźcie mi proszę czy to rózga dodawała im gieniuszu? czy kary cielesne wpływały na moralność? Pozwólcie mi o tem wątpić; co zaś do ogólnej moralności, o tem dałoby się dużo powiedzieć, to jednak nie wchodzi w zakres tego ogólnego poglądu na wychowanie.

Mojem zdaniem, byli dawniej ludzie moralni i niemoralni, równie jak i teraz — przeważającą cyfrę stanowili zawsze grzesznicy, a że teraz, tak bardzo wzdychają do upłynionych „dawnych czasów“ to pochodzi, z ułomności natury ludzkiej, której zawsze czegoś brakuje, i która, wybujałą imaginacyą błądząc w nieskończoności, przychodzi do pewnika „że tam lepiej, gdzieśmy nie byli, i być nie możemy!“

Jest jeszcze druga kara, niemniej hańbiąca, a jest nią wystawianie dzieci, niby pod pręgierzem, na widok sług i gości z uszami oślemi, kartkami na czole lub na plecach i t. p. Ta pokuta dowodzi tylko, nieczułość i najzupełniejszego braku miłości ze strony rodziców, którzy zadają lub dopuszczają podobne kary. Działają one zgubnie na obie strony. Rodzice spokojnie rozmyślają nad wymierzeniem kary, jak można najbardziej upokarzającej, a dzieci tracą ostatnią cząstkę przywiązania do nich, i nabierają przekonania, że im wymierzanie kar, przyjemność robi. Od tej chwili dom rodzicielski, staje się więzieniem a pobyt u nich, najcięższą męczarnią.

Szczęście rodzinne raz w ten sposób zakłócone, już nigdy nie powraca—wrażenie pierwsze przeważnie wpływa na młode umysły—żadne dojrzalsze rozumowanie nie jest zdolne go wykorzenić. Dzieci przyszedłszy do rozumu pojmą że postępkami swemi na karę zasłużyły, uznają jej potrzebę, chłodu jednak z duszy swej, wyrwać nie będą mogły, i myśl że rodzice i nauczyciele, znęcali się nad niemi, jak widmo jakie, będzie im stawało przed oczyma.

Skazywanie dziecka na post i milczenie, za wtrącenie się w porze niewłaściwej, jest nierozsądnem; żołądek nie winien, a cierpieć musi, milczenie dwutygodniowe, dając czas

do namysłu wyrabia przekonanie, że nie można tego mówić, co się myśli, naprowadza na drogę fałszu, kłamstwa i przebiegłości.

Dla moich dzieci, podobne kary nie były używane; najstarszy z nich Julek, piłką raz rozbił szybę; zamiast krzyku i srogiego napomnienia, spokojnie mu powiedziałam: „Szkoda, żeś to zrobił, jak szklarz przyjdzie, każesz mu szybę wstawić i zapłacisz ze swej skarbonki. A na drugi raz bądź uważnym.

Chłopczyk patrzył na mnie ze zdziwieniem: „Jakto mamo, ja zapłacę? A tak, drogie dziecko, widziałeś że kiedy mama co stłukła musiała napowrót odkupić, i ty tak samo, postępować musisz.“

Słowa moje, powiedziane bez krzyku i hałasu, dobry wpływ wywierały; Julek za szybę zapłacił i od tego dnia, uważnie się bawiąc piłką, nigdy mi podobnej szkody nie zrobił.

Jeżeli się zdarzało, że zauważyłam w dziatkach moich, lenistwo i nieuwagę w naukach, co bardzo łatwo odróżnić można, od zmęczenia lub momentalnego odrętwienia sił umysłowych, pozbawiałam ich jakiej przyjemności, jak to przejażdki za miasto, łakoci, nowych zabawek; nigdy jednak, w godzinach wytchnienia, nie zadawałam im lekcyj za karę—i na post też nigdy nie skazywałam.

Dziatki moje prowadzone łagodnie i stanowczo, nie znały rózgi i poniżających kar, chodowały się wesoło, zdrowiem się zawsze cieszyły, a co więcej, zachowały miłość i przywiązanie, nie tylko do rodziców, ale też i do wszystkich, którzy się niemi zajmowali.

A teraz kończąc ten artykuł, o wymierzaniu kar, przejdźmy do drugiej, a nie mniej ważnej kwestyi w wychowaniu dzieci — to jest do prawdomówności.

VII.

Prawdomówność, jest jedną z najpiękniejszych cnót chrześcijańskich; tak się wyrażają wszyscy moraliści i pedagogowie, uskarżają się nad ułomnością naszej natury, tak często odstępującej od tych pięknych zasad dla marnego zysku, jakiej błachej korzyści i tak dalej... Wszystko to dobrze, jedno co byśmy mieli tym panom do zarzucenia jest, że opłakując skutki, nie podają środka usunięcia i zapobieżenia złemu.

A środek ten mamy tuż pod ręką; jest to wzbudzenie w dzieciach uczucia ufności ku nam i postępowanie z niemi łagodne.

Ale nie trzeba tracić czasu tylko wcześnie zaczynać kształcić te małe istotki, jeżeli chcemy je wychodować na ludzi moralnych i użytecznych społeczeństwu. Mówiliśmy wyżej, że pierwsze wrażenie, wywiera niezatarty wpływ na całą przyszłość człowieka, otóż dziecię, w pierwszej chwili poznania, czujące strach i bojaźń dla rodziców, nigdy się z tego uczucia otrząsnąć nie potrafi. Dziecko, któremu się raz uda skłamać, zawsze do tego będzie miało pociąg, otóż cały sekret trafnego postępowania zależy na uprzedzeniu tych pierwszych złych wrażeń i zastąpieniu je lepszemi. Z tego więc powodu rodzice a szczególniej matki, powinny się starać o wzbudzenie w dzieciach miłości ku sobie, co nie jest wcale trudnem, gdyż dziecię z natury zwraca się z każdą potrzebą, i z każdą myślą do matki, szukając u niej porady i ratunku, we wszystkiem. Matki więc zadaniem powinno być jak najdłużej utrzymywać to wrodzone uczucie w dzieciach; nie odstraszać je zbytnią surowością i łajaniem. Dziecię kłamie z początku w celu zasłonięcia się wymówką od kary—mając zaś pewność, że żadne mu niebezpieczeństwo nie grozi, nie będzie się trudziło wynajdywaniem różnych wymówek. Drugim powodem dla którego dzieci kłamią, jest chęć opowiadania rozmaitych zdarzeń, które się wydarzyły; często są one prawdziwe, najczęściej jednak wymyślone, z tej więc przyczyny należy je powstrzymywać na drodze, przerywając zawsze podobne opowiadanie, zwracaniem uwagi na przedmiot prawdziwszy i podpadający pod zmysły. W końcu pozwolę sobie zwrócić uwagę szanownych czytelników, na konieczność dawania dzieciom dobrego przykładu, co się tyczy prawdomówności.— Pamiętajcie matki, bony i nauczycielki, święcie dotrzymywać danej obietnicy, jakkolwiek by błachą była. Dziecię zapatrując się na was, pójdzie za waszym śladem; i tak naprzykład, w jednym domu sąsiednim, słyszałam jak dwuletnia dziewczynka tuląc się do matki, prosiła ją z przymileniem. „Mamo, słońce tak pięknie świeci, pójdźmy na spacer“. Matka zajęta przymierzaniem nowej sukni, odrzekła: „dobrze, pójdę z tobą, jeżeli będziesz grzeczną!“ Dziewczynka przez cały dzień bawiła się cicho, była we wszystkiem posłuszną, starała się przypodobać wszystkiem gdyż liczyła na przyrzeczoną nagrodę. Wieczorem, podchodząc z ufnością do matki, zaczęła jej znowu przypominać spełnienie obietnicy; matka zajęta książką — ofuknęła ją: „Daj mi pokój, nie pójdę na spacer!“ dziecko odeszło ze łzami w oczkach. I odpowiedźcie mi teraz szanowni czytelnicy, czy można wymagać od dziecka wiary, w dane mu przyrzeczenie; czy można mu wmówić że rodzice poświęcą się dla jego dobra i szczęścia, kiedy fakt spełniony, dowiódł mu że matka nie chciała odłożyć na bok książki dla zrobienia mu małej przyjemności; otóż tu pierwsze wrażenie wywarło wpływ niezatarty — oziębiło dziecko dla matki i ta sama dziewczynka, w parę lat później, zapytywana dla czego jest nieposłuszną i krnąbrną — odpowiedziała: Albo to prawda co papa i mama mówią, gniewają się, bo się do tego przyzwyczaili, a ja nie wierzę temu co mi radzą. I któż jest winien że dziecię przyszło do tego przekonania? Oto ojciec i matka, którzy znudzeni natrętnemi prożbami dziecięcia, przyrzekali mu najrozmaitsze przyjemności i nagrody—nie myśląc wcale o ich spełnieniu. Ale mylicie się szanowni rodzice, wy, obarczeni kłopotami, życiem towarzyskiem i wszelkiego rodzaju zajęciami możecie zapomnieć o podobnych fraszkach, jak naprzykład, łakotki, spacer i tym podobne rzeczy; dziecko, nie mające tylu czynności, a zasadzające całe swe szczęście, na przechadzce, zjedzeniu smacznych rzeczy—pamięta dobrze o waszej obietnicy i za niespełnienie jej, zachowa na zawsze do was urazę.

VIII.

Rodzice wychowując dzieci, muszą się przygotować do tego, że nie zawsze starania ich uwieńczone zostaną dobrym skutkiem. Jest to myśl, unieszczęśliwiająca nas, paraliżująca wszystkie dobre zamiary a co więcej, ochładzająca w nas miłość i przywiązanie do dzieci. Tak się dzieje, kiedy jesteśmy do tego przygotowani; cóż się dziać w nas musi, kiedy rzeczywistość nas zaskoczy z nienacka?

Co za uczucie, kiedy wychodowane dziecię, staje przed nami, jako dorosły młodzieniec, lub dziewica i w niczem nie jest nam podobne? Ojciec, jest poczciwy, wspaniałomyślny i odważny; syn, tchórzowaty, skryty, nieuczciwy, wyśmiewający wszystko, co jest wzniosłe i piękne. Jakiż tu może między niemi być stosunek? Każde zbliżenie wywołuje boleść dla obu stron, a miłość i nienawiść, ciągłą prowadzą z sobą walkę.

Taki sam stosunek, daje się często spostrzegać między matką i córką. Są to wypadki, mogące pociągnąć za sobą unieszczęśliwienie zobopólne; mogące powtarzam, gdyż rzeczy mogą też i inny obrót wziąć.

Złagodzenie tego złego jest w mocy rodziców, rodzice powinni przezwyciężyć w sobie oburzenie i wstręt ku dzieciom, siłą woli przełamać wszystkie przeszkody, odważnie spojrzeć w przepaść i zmierzyć ją okiem doświadczonem; pamiętając że tu idzie o ratunek ukochanego stworzenia, zbłąkanej owcy; tu jak i wszędzie osiągniemy dobry skutek, skoro przewodnikiem naszym będzie miłość. Otóż zamiast odepchnięcia od siebie grzesznika srogiemi wymówkami — postarajmy się wkraść się w jego duszę—nie biorąc jej przemocą, nie domagając się wejść tam przemocą i siłą, gdyż wtedy twierdza ta zamknie się przed nami na zawsze.

Młodość jest skłonna do różnych zmian, i potrzebuje pobłażania. Zasłaniając dorastające dzieci od wszelkich małych i wielkich niebezpieczeństw, nie dajemy im spojrzeć na świat ze strony praktycznej, a pokazując im go, przez zasłonę imaginacyjną — odwlekamy tylko czas próby—i utrudniamy dzieciom naszym wejście w świat.

Wszystkiego wyuczyć się w teoryi nie można; trzeba dojść do wielu prawd własnem doświadczeniem, i dlategoż to na rozmaite omyłki i uchybienia—nawet na grzechy młodości patrzeć powinniśmy przez szpary. Cierpliwość i miłość powinny nas w tak ważnem i trudnem zadaniu wspierać i nami rządzić.“ „Pocieszajmy się myślą że jutro będzie lepiej!“ i nie ostygajmy w naszej pracy; skutek zaś jej zawsze będzie dobrym. Dziecię zbłąkane, stąpające złą drogą powinno być celem wszystkich naszych starań i pieczołowitości. Otoczmy je miłością, politowaniem i łagodnością a skutek z tego osiągnięty wynagrodzi nam stokrotnie wszystkie nasze starania. Ale gdzieżeśmy zaszły drogie moje czytelniczki; zadaniem mojem było zwrócić uwagę waszę na początkowe wychowanie dzieci a zabrnęłam tak daleko, że w końcu, stawiłam wam przed oczy, dorastającego młodzieńca i dziewicę. A miałam wam dużo rzeczy do po-

wiedzenia; naprzykład nie zwróciłam waszej uwagi, na potrzebę rozwiajania w dziatkach uczucia litości, dla biednych. Brałam się do tego naturalnie, bez długich kazań; naprzykład, siedzieliśmy u stołu, głos żebraka modlącego się za oknem dolatuje do uszu naszych. Podaje pusty talerz mówiąc: „Widzicie dziatki tego biednego żebraka, on głodny, zbierzmy składkę dla niego; niech każdy zwas udzieli trochę ze swej porcyi, a biedak się nasyci! Dziatki moje, zachęcone przykładem rodziców, z radością oddawały to co miały najlepszego. Później, nie czekały mego wezwania, ale same zbierały między sobą kawałki ciast, łakoci i odnosiły mi do rozdania biednym. I niechże kto zaprzeczy, że przysłowie „Młodość, nie zna i nie pojmuje cnoty“ — jest mylne. Któż więcej jak młodzieniec, zdolnym jest do wzniosłych i szlachetnych uczuć?...

Z wyborem nauczycieli, bądźcież równie ostrożne. Zapalony pedagog sprawiał mi zawsze wstręt. W zapale swym gotów jest zgnieść, zetrzeć na miazgę swego wychowańca, w obłąkaniu, że tym sposobem ma zasługę przed nauką — i pedagogiką. Starania jego, o zaszczepienie wszystkich piękności nauki, nagrodzone bywają najsmutniej; gdyż uczeń ze zbytku, pięknych i wzniosłych wiadomości, traci najzupełniej głowę i władze umysłowe, przychodzi do zupełnego idyotyzmu.

Otóż życzę wam drogie czytelniczki, wybierać ludzi światłych, kochających młodzież, odnoszących się ku niej z pobłażaniem; tacy będą zawsze wywierać najbawienniejszy wpływ na dzieci wasze, zasłużą na ich miłość i szacunek, a kończąc ten mój skrócony pogląd na wychowanie dzieci—błagam, żebyście nie odstępowały od zasad miłości, łagodności i pobłażania dla tych małych istot, którym życie dałyście.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Poznań w Maju i w Czerwcu 1876 r.

Wiosna zawitała — trzeba wynosić się z tego przebrzydłego miasta, jesień późna nadeszła nudno na wsi, — trzeba zmykać do miasta. Zwykła to piosnka szczęśliwców którzy mogą dzielić swój czas w ten sposób. Nasze miasto stosunkowo ma bardzo wielu zimowych gości, to też i ruch w zimie był tu większy, było dosyć gwarno, dosyć ludno. Teraz znacznie ciszej, monotonniej. Ustały odczyty, ustały koncerta, trupa polskiego teatru wyjechała do Warszawy na całe lato, niemiecki teatr także stoi pustkami pomimo to że ma nawet subwencyą. Jedyną teraz rozrywką mieszkańców są wycieczki już to w dalsze już w bliższe okolice Poznania. Najbliższą miejscowością dogodną na „majówki“ jest piękny gaj dębowy „Dębcem“ zwany, o wiorst parę położony od Poznania, do którego prowadzi aleja coś w rodzaju Ujazdowskiej w Warszawie. Do dalszych miejscowości położonych przy kolei chodzą pociągi spacerowe. Na zwolennikach tych wycieczek nigdy nie zbywa, i nic dziwnego choćby dlatego że w mieście teraz co się zowie nie ma żadnej rozrywki. „Wianki“ tylko jak zwykle tutaj obchodziły się uroczyście i świetnie, a może nawet uroczyściej i świetniej jak innych lat. W wigilię Ś-go Jana ze zmierzchem, na rzece której brzegi zaległa publiczność, około godziny 9 pokazało się kilka galarów i łodzi przystrojonych świątecznie i iluminowanych różnokolorowemi lampionami. Na jednym galarze była umieszczona muzyka i chór śpiewaków którzy wykonywali raźnych krakowiaków i mazurów oraz rozmaite śpiewy narodowe. Przytem puszczano race i ognie bengalskie a w końcu wzniosły się wśród oklasków chucznych dwa balony. Publiczności jak powiedziałem było dużo i to ze wszystkich stanów. Niemcy rozumie się brali w tem udział tylko bierny i to czyniąc zadość tylko ciekawości. W przeszłej mojej korespondencyi podałem wam tytuły odczytów publicznych teraz podaję je w dalszym ciągu: dr. Zielewicz mówił „O pracy przemysłowej niewieściej i jej wpływie na zdrowie kobiet“; dr. Warnka „O początku i końcu świata“, nadto dr. Szumen odczytał w Towarzystwie przyjaciół nauk, pięknie napisany życiorys Karola Libelta. W ogóle trzeba to przyznać prelegentom, że wybierali za przedmiot rzeczy bardzo interesujące i pouczające zarazem. Szkoda że odczyty te z wyjątkiem zdaje się dwóch tylko—pozostały w rękopismach. Przyczyną tego jest to że na całą prowincyą niemamy *ani jednego* pisma literackiego. Przed laty paru wychodził tu „Tygodnik Wielkopolski“ lecz po pięcio-letniem swojem *potykaniu się* — upadł z powodu braku prenumeratorów. Pism politycznych wychodzi tu kilka z których głównie zasługuje na uwagę „Dziennik Poznański“, jest to zapewne najlepsze pismo polityczne polskie. Jest umiarkowany i oględny, lecz prosto zdąża do wytkniętego celu a za cel główny wziął obronę narodowości naszej przed germanizmem. Co jednak największe nadaje znaczenie Dziennikowi to to, że jest zawsze wyrazem opinii publicznej. To zaś osiąga się w ten sposób, że co tydzień Redaktor zaprasza na sesyą ludzi mających tu większe znaczenie i mir jako to: posłów, uczonych lub w ogóle poważanych znanych i światłych obywateli. Na sesyi takiej poddają się pod dyskusyę ważniejsze sprawy będące na czasie, każdy z obecnych zabiera głos i wypowiada swoje zdanie, a sumą tych zdań są później artykuły w dzienniku. Z pism politycznych wychodzi w Poznaniu jeszcze Kuryer Poznański z fałszywą ultramontańską tendencyą, a na prowincyi: „Gazeta Toruńska“ wcale dobrze i trzeźwo redagowana i Gazeta Górno-Szląska. Literackich pism jak powiedziałem wcale tu nie mamy, ale mamy za to *kilkanaście* pism ludowych, niektóre z nich wymienię: Przyjaciel, Przyjaciel Ludu Orędownik, Gwiazda, Zagroda, Włościanin i in. Z tych wszystkich wyróżnia się „Przyjaciel“ wychodzący w Toruniu pod redakcyą Ignacego Danielewskiego zwanego powszechnie przez lud „Majstrem od Przyjaciela“—Przyjaciel jako pismo ludowe narodowo-religijne może posłużyć za wzór do naśladowania dla innych pism podobnego rodzaju. Prenumerata wszystkich pism ludowych jest niska, „Przyjaciel“ np. kosztuje na kwartał 48 fenigów t. j. prawie 1 złp. bez przesyłki, a ponieważ ludzie tutaj umieją czytać, każde pismo ludowe ma dosyć prenumeratorów. Książek ludowych także się dosyć tu rozchodzi, do rozpowszechnienia i jednych i drugich znakomicie się tu przyczynia towarzystwo oświaty ludowej, o którem w jednej z poprzednich moich korespondencyj wspominałem. A wiece w ostatnich czasach zbierane w sprawie języka, przemowy miane na nich do ludu, pisma rozdawane obecnym na nich — wszystko to niewątpliwie wpłynie na to że lud jeszcze się więcej będzie garnął do czytania, będzie się oświecał i interesował sprawami publicznemi. Jest to jedyna korzyść jakąśmy odnieśli z owej walki o zachowanie prawa jakie nam przysługiwało w używaniu swego języka, bo co się tyczy tego projektu to pomimo petycyi z 300,000 podpisów wysłanych do izby deputowanych i ze 100000 przeszło do izby panów, pomimo świetnych obron posłów polskich — projekt ten do prawa znoszącego używanie polskiego języka w urzędach—w jednej i drugiej izbie przyjętym został. Smutny to fakt samo ustanowienie podobnego prawa, ale położywszy rękę na sercu musimy wyznać, że prawo to położenia rzeczy nie wiele bardzo zmienia. Polacy pod panowaniem Prus zostający z wyjątkiem tylko pewnej części ludu prostego, język niemiecki posiadają i do tej pory w urzędach języka *tego używali* pomimo to, że przecież służyło im prawo używanie języka *swego!* A zresztą i w życiu prywatnem ileż razy używa się „nienawistnej niemczyzny“ najniepotrzebniej. Teraz w pierwszy dzień wielkiejnocy pewien zacny kapłan w jednej parafii na kaszubach wyrwał się z kazaniem niemieckiem do ludu polskiego. Mógłbym tysiące przykładów przytoczyć podobnego ustępstwa tam gdzieśmy właśnie niepowinni ani na krok odstąpić, bo każden nasz krok w tył jest niemieckim krokiem naprzód. Od 72 roku zaprowadzono nawet w szkołach ludowych jako język wykładowy z wyjątkiem religii, język niemiecki, teraz mają wydać rozporządzenie wykładania i religii po niemiecku. Gdyby tak dalej i w takim stosunku miała się posuwać geomanizacya to.... Ale dajmy temu pokój przejdźmy do czego innego.

Niedawno odbyło się w Poznaniu zebranie delegatów kółek włościańskich. Z charakterem ich zaznajomiłem już czytelników gdym mówił o Towarzystwie centralnem gospodarczem, teraz tylko podam niektóre wyjątki ze sprawozdania na tem zebraniu przeczytanego. Oto najprzód dowiadujemy się że w b. m. przybyło kółek 19, a więc wszystkich razem jest już 74, a członków do nich należy przeszło 4000. Jest to wysoka liczba, jak powiada sprawozdawca, — której znaczenie się podniesie jeżeli działalność będzie odpowiednią. Tymczasem nie wszędzie jest ona taką jakąby być mogła i jakąby być powinna. W ogóle jednak rozwój kółek i pochop do ich tworzenia rokują dobrą przyszłość dla rolnictwa a temsamem i dla dobrobytu i dla oświaty ludu. A trzeba o tem bardzo myśleć i energicznie działać, bo już połowa ziemi włościańskiej przeszła w posiadanie niemców kolonistów. Lud tutejszy przywiązany jak zwykle

sławiański jest do ziemi swojej lecz naciskany przez okoliczności, party że tak powiem niewidzialnie przez niemców, zaraził się od nich chętką szukania sobie ojczyzny tam gdzie spodziewa się dobrobytu materyalnego. W tym roku jak i każdej wiosny całemi kompaniami jak na odpust idzie w inne prowincye Niemiec nawet i do Ameryki szukać sobie zarobku. Zapytani—jedni odpowiadają że ich namówiono do tego i obiecano złote góry, inni — że ich nikt nie namawiał. Bądź co bądź niewątpliwą jest rzeczą że początek do tej emigracyi dają zawsze nieuczciwi agenci. Teraz nawet w okolicach Grodziska pojawiły się indywidua które namawiają po wsiach młode dziewczęta, ażeby udawały się do Berlina na służbę, gdzie im po 17 talarów miesięcznie mają płacić. W rzeczywistości zaś owym Berlinem ma być Hamburg, owem dobrze płatnem miejscem — dom rozpusty.... Policya tutejsza która tak skrzętnie śledzi za wiecami i wszelkiego rodzaju zebraniami polskiemi, która tak skrupulatnie wykonywa wyroki wydane na duchowieństwo sprzeciwiające się „ustawom majowym"—*na takie drobnostki* zdaje się nie zwracać uwagi. Gdy wspomniałem o wyrokach wydawanych na duchowieństwo dodam tu nawiasowo, że kary pieniężne nałożone na księży w dyecezyi poznańskiej wynoszą dotąd już blisko 60000 talarów.

Nie wspomniałem wam zdaje się jeszcze że w tym roku została założona w Berlinie resursa kupiecka polska, jest to o ile mi wiadomo czwarte stowarzyszenie polskie w Berlinie.

TEATR.

Koniec Sztuartów,

Dramat w 4-ch aktach (6-u obrazach), oryginalnie przez Juljusza Falkowskiego napisany.

Niedawno ukazał się na scenie Teatru Letniego dramat *Koniec Sztuartów.* Jest to ten sam utwór, który wycofanym został przez autora z warszawskiego konkursu. Powiadamy *dramat* dla tego, że tak zatytułowaną została na afiszu powyższa sztuka. Właściwiej mówiąc, nazwać by ją wypadało romansem historycznym, przystrojonym w sukienkę sceniczną. Dramat bowiem, ażeby był dramatem, musi przedstawiać jakieś dwie siły naprzeciw siebie postawione, toczące walkę między sobą; musi przedstawiać ścieranie się idei jednej z ideą drugą, idei szlachetnej z ideą wsteczną, idei dobra ze złem, idei postępu z przesądami, idei współczesnej, wstępującej w życie, z ideami dla których już czas minął, i w tak postawionej walce przedstawić łamanie zapór, przeszkód i nakoniec zwycięztwo idei lepszej nad gorszą, tryumf dobra na gruzach złego, tryumf postępu na gruzach przestarzałych pleśni. Cała walka, wszystkie okoliczności, cała budowa sztuki powinny mieć wszelkie pozory prawdopodobieństwa, ażeby zachowaną była iluzya, będąca pierwszym zasadniczym względem sztuki. Rozumie się, wybór idei, wybór przedmiotu do sztuki zależnym jest od autora, od jego wyobrażeń, i jakkolwiek niepodobieństwem byłoby krępować autora jakiemiś ścieśnieniami i ograniczeniami, to wszakże mimo to jak z jednej strony bywają pewne prawidła sztuki, które należy brać koniecznie pod rachubę, tak z drugiej mogą się znaleźć pewne względy, które czynią dzieło więcej interesującem i wpływają na podniesienie jego wartości. Względami takiemi, o jakich chcemy mówić, szczególniej w sztuce dramatycznej, jest pewna analogia z życiem naszem, pewne, że tak powiemy, pokrewieństwo między tem co budzi bliższy interes dla nas, a tą właśnie sztuką. Czy *Koniec Sztuartów* odpowiada warunkom wymaganym od dramatu i czy odpowiada względom, o jakich powyżej wzmiankowaliśmy, zaraz się to okaże.

Ks. Karol Edward Sztuart, znany w historyi pod imieniem hrabiego d'Albany (p. Królikowski), przy schyłku życia swego będący, porzucił na zawsze zamiar odzyskania tronu Angielskiego. Ulubiona jego wódka *Wisky,* jest nieodstępną prawie towarzyszką tego księcia, który co godzina prawie niby pokrzepia się tym nektarem z zapomnienia, a w rzeczywistości zabija resztki sił ciała i myśli. Bitwa pod Culloden, będąca ową znaną w historyi porażką ostatniego z Sztuartów, od czasu do czasu jad gad jadowity zatruwa jego myśli. Ludwika von Stolberg-Gedern, hrabina d'Albany, żona naszego księcia (p. Niewiarowska), kobieta bez czucia dla męża, zajęta tylko romansami, w niczem nie stara się osłodzić mu życia. Jeden tylko Mac-Gregor, lekarz księcia Karola (p. Grzywiński) nie odstępuje go ani na chwilę, ażeby pokrzepiać nadwątlone siły książęce, co mu się nie udaje, ponieważ *aqua vitae* paraliżuje wszelkie jego usiłowania. — W takiej pozycyi i w takim stanie znajdujemy główną postać sztuki. Naraz zjawia się w pałacu księcia w Florencyi, Karolina Walkenshaw, córka naturalna księcia Karola (p. Modrzejowska), ażeby rozchmurzyć zasępione wspomnieniami i odurzone *wyską* oblicze księcia, ojca swojego, który przytula do serca najdroższą dziecinę swoję, tyle mu drogą w wieku niemowlęcym. Przybycie Karoliny z Anglii miało na celu nietylko uściśnienie ojca, ale zarazem spełnienie ważnej missyi politycznej. Stronnictwo Sztuartów i katolicyzmu, reprezentowane przez pewną warstwę szlachty angielskiej, powierzyło Karolinie i kilkunastu posłom swoim missyą zaofiarowania księciu Karolowi Edwardowi tronu Angielskiego, dzierżonego przez dom Hanowerski. Owładnięcie tego tronu nie było łatwem, bo trzeba go było zdobywać orężem; ale stronnictwo Sztuartów nie cofało się przed trudnościami walki i zaofiarowało zarazem prawemu dziedzicowi tegoż tronu swój oręż, życie i mienie. Książe Karol Edward mając nadwątlone siły, zawahał się na chwilę w przyjęciu szlachetnie zaofiarowanych mu propozycyj. Bo i na co siebie i stronników swoich ryzykować, gdy ręka już za słaba do porwania miecza i nie ma potomka, dla którego tron ten odzyskać by należało. Ale Karolina rozproszyła te wątpliwości wspomnieniem dawnego bohaterstwa starego księcia i propozycyą następstwa tronu odzierżyć się mającego przez księcia Henryka Benedykta Sztuarta, kardynała Yorku (p. Stolpe) brata Karola Edwarda.

„Ojcze, królu mój i panie! — mówiła rozpromieniona, sława oręża twojego pamiętna jest całej Anglii, ona pokrzepi miecze i serca jej obywateli, którzy pałają wiernością i przywiązaniem dla Sztuartów, zagrzeje ich odwagą i zrodzi zwycięztwo! Przewielebny kardynał Yorku za zezwoleniem Ojca świętego zdejmie poświęconą sukienkę i będzie godnie piastował tron Sztuartów, odzyskany przez ciebie. Przyjm więc poselstwo wiernej ci szlachty angielskiej, a wierzę, że wrogi twoje korzyć się przed tobą będą. Stary książe dał się przekonać na chwilę i postanowił spełnić swój obowiązek królewski. Aliści podesta florencki (p. Boczkowski) oznajmia księciu Karolowi, iż rząd miejscowy na skutek reklamacyi rządu Angielskiego, wyprasza bardzo delikatnie i grzecznie starego księcia z Florencyi, który na takie dictum acerbum odpowiedziawszy wyniośle, jak przystało na króla Anglii, postanawia opuścić niegościnne progi. Lecz gdzież się udać? Jest na to rada, ponieważ hr. Wiktor Alfieri, sławny poeta włosk (p. Leszczyński), ofiaruje gościnnie księciu swój pałac w Rzymie. Książe przyjmuje i wraz z rodziną opuszcza natychmiast Florencyą. W pieczarach grobowych w Rzymie, książe Karol Edward przyjmuje posłów angielskich Obok grobu Jakóba III, ojca swojego, odbiera chołdy wierności od posłów szlachty angielskiej i zaprasza ich na ucztę nocną do zajmowanego przez siebie pałacu hrabiego Alfieriego. Hrabia Dunbar (p. Wolski) w tych samych pieczarach poprzysięga wieczną miłość i poślubienie jak najszybsze Karoliny, która wszakże nie prędzej spełnienie tego przyobiecuje, aż po odzyskaniu tonu angielskiego przez Karola Sztuarta.

Księżna d'Albany, dość zachwianej w sztuce niniejszej moralności, zakochała się po uszy w Alfierim i w chwili gdy oboje kokietują się wzajemnie, szlachetna Karolina zjawia się na progu salonu. — Księżna w dość arogancki sposób przyjmuje zjawienie się w tej chwili Karoliny i odchodzi do swoich pokojów, pozostawiając niezręcznie wachlarz na stole. Wachlarz ten, spostrzeżony później przez kardynała, zrodził w nim bardzo słuszne podejrzenia o honor księżny, a tem samem i wyrodził obawy o honor książęcy brata swojego. W skutku czego proponuje temuż przeniesienie się z pałacu Alfieriego do komnat kardynalskich. Karolina wszakże zażegnywa burzę, targa wątpliwości ojca swojego oświadczeniem, że Alfieri kocha się w niej, a nie w hrabinie d'Albany. Nadchodzi więc godzina uczty. Zbierają się posłowie szlachty Angielskiej i uczta się rozpoczyna. Stary książe rozpromieniony ukazuje zgromadzonej szlachcie przestrzelony kapelusz swój w bitwie pod Culloden i wierną szpadę, towarzyszkę chwil bohaterskich, a Karolina w chwili patryotycznego zapału, przybrana w sukienkę narodową, wyśpiewuje przy uczcie narodowe pieśni. Lecz czemuż oblicze starego księcia się chmurzy? Oto żona jego, hrabina d'Albany zupełnie nie podziela zachwytu ogólnego i jakby drwiąc sobie z uczuć królew-

skich w tak ważnej chwili, pod pozorem bólu głowy, opuszcza ucztę.

Stary książe, trapiony podejrzeniami o stosunek miłosny małżonki swej do Alfierego, wcześnie zamyka ucztę, żegnając obywateli angielskich i zatrzymując tylko jednego hrabiego Dunbara, któremu ma polecić odwiezienie listów do króla Francuzkiego. Książe Karol Edward nie bardzo biegły w stylu francuzkim, rozkazuje przyzywać do pomocy sobie małżonkę, która właśnie władała znakomicie tym językiem. Wszakże lokaj książęcy przychodzi z wiadomością, że księżnej nie znalazł w jej komnatach. — Gdzież więc jest? zawołał książe, ha rozumiem, zemsta niewiernej! Hrabio Dunbar, bierz pistolet, ty jego zgładzisz, a ja ją. Karolina, którą jakieś złowrogie przeczucia dręczyły, w nocnym stroju podsłuchiwała pode drzwiami księcia i w sam czas jeszcze pobiegłą przestrzedz oboje kochanków przed niebezpieczeństwem.

Alfieri, któremu honor nakazywał strzedz gościnności, jaką ofiarował księciu, prawie odsuwał miłosne zapały Ludwiki, gdy ta coraz natarczywiej nalegała na niego, by ją uwiózł od księcia. Szlachetna Karolina staje między nich i zmusza hrabinę d'Albany do opuszczenia pokoju Alfieriego. Ale nieszczęsna dziewczyna łapie się sama, bo nim tamta zdołała ujść, stary książe i Dunbar wpadają na miejsce schadzki. Karolina, ażeby osłonić księcia od rozpaczy z powodu hańby jego małżonki, upozorowywa rzecz całą oświadczeniem, że to ona sama, a nie hrabina d'Albany była na schadzce z Alfierim. Książe ją przeklina, hrabia Dunbar odtrąca obelżywem słowem jako metressę poety i wyzywa tegoż ną pojedynek. Alfieri przyjmuje pojedynek, oświądczając zarazem, że Karolina jest niewinną.

Po pojedynku, raniony Alfieri ofiaruje Karolinie zamężcie swoje, lecz ona go nie przyjmuje i wstępuje do klasztoru. Cała sprawa odzyskania tronu Angielskiego, puszczoną zostaje w zapomnienie i książe Karol Edward na nowo powraca do swojej wisky, a następnie nędznie kończy żywot swój. Nadmienić wypada, że po owej miłosnej schadzce hrabina d'Albany zrehabilitowała się zupełnie i z troskliwością najukochańszej małżonki doglądała upijającego się księcia. W końcu, bo przed samą chwilą skonania, taż hrabina d'Albany oskarżą się przed mężem, a oczyszcza niewinną Karolinę, która w stroju zakonnicy, odebrawszy ostatni uścisk od księcia Karola, umiera u stóp jego. Rozumie się, hrabia Dunbar, poznawszy niewinność Karoliny, rozpacza straszliwie,—i oto cała treść tego dzieła scenicznego.

Jak widzimy, trudno tu jest dopatrzeć się warunków, wymaganych od dramatów. Gdzież tu idee, gdzież tu ich walka, i gdzież tu działacz, czyli główny kierownik walki, który powinien być bohaterem dramatu? Wszak nie książe Karol Edward. Gdyby ktokolwiek chciał go wziąć za pierwszą postać dramatu, zakrawałoby to na ironię, jeżeli nie na nonsens, — bo to starzec niedołężny, upijający się wódką i mający jedno tylko za sobą, t. j. chwilowe, kiedy niekiedy szlachetne porywy, wywoływane wspomnieniami. Drugi Sztuart, t. j. kardynał Yorcku, także nie może mieć pretensyi do pierwszej postaci w dramacie. Jest to sobie dość skromnego pokroju laik, umiejący nosić sukienkę kardynalską i rozgrzeszać, ale nic więcej. Tak pierwszy więc jak i drugi z Sztuartów ani nie działa, ani nie walczy. A jednak tytuł dramatu powinien być bezpośrednim wynikiem działalności pierwszych postaci. Wprawdzie postacie Sztuartów znajdują się tutaj, ale, jak już powiedzieliśmy, nie są pierwszemi postaciami i nie działają, lecz są niejako niedołężnemi czynnikami, raczej cofającemi się przed działalnością, aniżeli idącemi naprzód w obronie jakichś idei. Zatem *Koniec Sztuartów* nie jest dramatem lecz prędzej romansem historycznym, w formę dyalogu przybranym. Następnie, czy taki dramat budzić może jakikolwiek dla nas interes? Odpowiadamy, że nie. Bo cóż nas obchodzić może los ostatniego z Sztuartów, upijającego się *wyską*, i brata jego kardynała w czerwonej czapeczce, — jakiż oni mogą budzić dla nas interes? Nietylko że nie budzą żądnego interesu, ale nie mają żadnego związku z jakiemikolwiek ogólniejszemi dążnościami. Gdyby p. Falkowski napisał *Koniec Sztuartów* dla Anglików, to niewątpliwie zainteresować by ich mogła ta sztuka. Wprawdzie zarzucić nam kto może iż dramaty Szekspira, chociaż dotykają interesów na obcym gruncie agitowanych, jednak są przez nas skwapliwie czytane i wysłuchiwane. Bez wątpienia, lecz to nie dowodzi jeszcze, ażeby *Koniec Sztuartów* budził w nas jakiekolwiek zajęcie. Najpierw dramaty Szekspira są rzeczywistemi dramatami, bo odpowiadają w zupełności warunkom estetycznym i jakkolwiek rzeczy w nich agitowane są na obcym gruncie, to jednak mają ogromną łączność z więcej ogólniejszem życiem, z więcej ogólniejszemi ideami, — jak np. Kupiec Wenecki, jak Hamlet. Jedna tylko powiedzielibyśmy postać Karoliny może mieć kwalifikacyą dramatyczną, ona rzeczywiście tu walczy, walczy z niewiernością hrabiny d'Albany dla usunięcia zgryzoty ojcu swojemu. Jej działalność może się znajdować w dramacie, ale pasowałaby i do komedyi. Gdyby jednak była i więcej jak jest dramatyczną, toby i tak nie okupiła zasadniczych wad całej budowy dramatycznej. Hrabina d'Albany żona księcia Karola Edwarda jest to, rzec można z góry, silnie niekonsekwentna postać. Autor z niej zrobił jakąś obrzydliwą *heterę*, co mówiąc nawiasem, jest historycznym fałszem, ponieważ w rzeczywistości hr. d'Albany była porządną kobietą i nie ona, ale wódka zdziałała, że ostatnie pokuszenia ks. Karola Edwarda co do zamiarów względem tronu angielskiego w niwecz obrócone zostały. Pomijając jednak wzgląd tego fałszu historycznego, uważamy postać hrabiny za bardzo niekonsekwentnie przeprowadzoną, bo, krótko mówiąc, taka wietrznica, która potargała honor kobiecy i splamiła krew królewską, nie mogła w jednej chwili przedzierżgnąć się w wysoce szlachetną i poświęcającą się postać, a nawet umiejącą się wznieść na wyżyny własnego oskarżenia. Reszta postaci w tej sztuce, to figury o bladych i niezdecydowanych konturach, i aktorzy odtwarzający je musieli dołożyć niezmiernych starań, ażeby uratować honor *Sztuartów*. Mimo jednak usiłowań godnych lepszej sprawy, nie mogli tego dokazać, jakkolwiek w grze swojej zrobili wszystko, co tylko można było zrobić.

W ogóle wszakże zupełnie odmówić talentu p. Falkowskiemu nie można; są duże braki, świadczące o niewyrobieniu pisarskiem, wszelako przy usilnej pracy niknąć takowe powinny. *Feliks Ehrenfeucht.*

OFIARY FANATYZMU.

Tłómaczenie z francuzkiego.

Wicher jesienny wył po nad Paryżem, a wszyscy mieszkańcy pochronili się do swych domostw jeszcze przed godziną gaszenia ogni. Był to wieczór dnia 5 Września 1557 roku.

W obszernym pokoju przy ulicy Ś-go Jakóba, oświetlonym przez lampę żelazną, na rzeźbionem dębowem krześle, siedziała młoda dziewczyna, a obok niej stał dorodny młodzian. Może ten wicher świszczący tak usposabiał, dość, że oboje smutnie milczeli. Młody człowiek blady był jak lilija, a ponura niespokojność powlekła chmurą jego czoło, wzrok utkwił w przestrzeni, jakby chciał wywoływać oddalone obrazy; brwi zmarszczył, a oko jego wrzało tłumionym ogniem i tylko rozjaśniał się, gdy tkliwe spojrzenie pięknej dziewczyny spoczęło na nim. Imię miał Henryk i pomimo ubrania mieszczańskiego, po dumnie wzniesionej głowie a wytwornej postawie, poznać można było syna szlacheckiego rodu. Małgorzata nie znała nazwiska swego ukochanego i choć go pytała nieraz w tym przedmiocie, odpowiadał, że jest synem mieszczanina z Szampanii i więcej żadnych nie dawał objaśnień. I ojcu Małgorzaty tak umiał się podobać ten młodzian, że nawet nie przyszło mu na myśl badać młodego pana; w tym czasie zaburzeń może chciał się ukrywać, a że był zacnym i szlachetnym, widniało to we wszystkich jego postępkach.

Tego pamiętnego wieczoru dnia 7 Września 1557 roku, Małgorzata pomimo że była szczęśliwą, smętnie się jakoś zamyśliła, a ponura niespokojność ukochanego mroziła uśmiech na ustach dziewczyny. Miłość jej dla Henryka graniczyła z uwielbieniem, onaby dla tego najpiękniejszego, najrozumniejszego i najdzielniejszego chętnie poniosła swe życie w ofierze. Trzy wielkie namiętności pochłaniały duszę ognistą ośmnastoletniej dziewczyny. Im poświęcała wszystkie uczucia swego młodzieńczego serca: Bóg, Ojciec i Henryk. Lecz najgoręcej biło serce jej do Boga.

Małgorzata była katoliczką i to katoliczką przejętą owym fanatyzmem strasznym, co to zrodził noc Ś-go Bartłomieja. Żywioły fanatyzmu zawisły nad jej kolebką; w nich wzrastała i pierwsze pojęcie dziecka uderzyła nienawiść do innowierców; pierwsza myśl dziewicy była modłą do Boga o... wytępienie hugonotów.

Nieraz chciała rozpocząć rozprawę o dogmatach katolickich z tym, którego kochała, lecz Henryk z uroczym uśmiechem odpowiadał:

— Religija, moja najmilsza, to za zbyt poważny przedmiot dla młodych ludzi.

I tego wieczoru młoda dziewczyna chciała potrącić o ten wiecznie niepokojący ją przedmiot, lecz Henryk spojrzał na nią smutnie, podniósł się, uścisnął rękę ukochanej i ze słowami „do jutra,“ wyszedł. Małgorzata odprowadziła narzeczonego do drzwi i potem długo, długo, tęsknie za nim patrzyła, dopóki nie zginął w ciemnościach nocy, wówczas powróciła i wsparłszy jasną główkę na ręku, pogrążyła się w zadumie.

Cichość panowała dokoła, tylko niekiedy dawały się słyszeć nawoływania stróżów miejskich, wówczas dziewczyna podnosiła głowę i czegoś niespokojnie nadsłuchiwała,— dziś nie było dla niej spokoju ani przy boku ukochanego, ani w tej chwili samotnego rozmyślania, bo przed jej wyobraźnią przesuwały się jakieś straszne ponure obrazy. Czyżby to było przeczucie nieszczęścia? W tem drzwi się otworzyły i wszedł wysoki siwobrody starzec, a w całej postawie znać było jakieś przygnębienie.

Padł zmęczony na krzesło i drżącemi ustami szeptał słowa pacierza. Małgorzata zbliżyła się do ojca, podając mu czoło do pocałunku, lecz starzec nie zwrócił uwagi na młode dziewcze i zaledwie wyrzekł pozdrowienie przytłumionym głosem. Dziewczyna popatrzyła na ojca, pochyliła się i objąwszy za szyję, zaczęła wypytywać o powód smutku.

— Mój ojcze, mówiła, wznieś ducha swego do Boga, a on cię wspomoże, wzywaj Pana, bo On wzmacnia słabych i podnosi chylących się pod nieszczęściem. Niech powróci twój dawny spokój. Słowa młodej dziewczyny uspokoiły starca, podniósł oczy i zaczął mówić z wysiłkiem.

— Będę spokojny, moja córko, lecz tym spokojem, co poprzedza śmierć... Chcesz zaślubić Henryka i ja na to pozwalam, ale pierw trzeba ci odwagi Judyty i wiary męczenników, a przed mirtowym wiankiem musisz okupić życie ojca, lub patrzeć na moję śmierć.

Małgorzata patrzyła zdziwiona.

— Co znaczy ta mowa ojcze? — Żyliśmy cicho, spokojni, szczęśliwi, w tem przychodzi ci myśl o śmierci i poddajesz się bezgranicznej rozpaczy. Czyż piorun może wypaść z nieba bez chmur? O powiedz mi ojcze, co się stało?

— Wczoraj moje dziecię, zapomniałem się i w miejscu publicznem zacząłem wykrzykiwać przeciw królowi Henrykowi II, przeciw rządom jego, znalazł się podły donosiciel, — uwięziono mnie i zaprowadzono do Luwru przed króla.

— Jesteś buntowniczym poddanym, obrażasz króla i rząd, mówił król Henryk II, a co więcej, jesteś złym katolikiem, bo oto w pobliżu twego domu Jehan de Troyes opowiada nową wiarę i szerzy reformę, a ty milczysz. Jeżeli w przeciągu dwóch dni nie przyniesiesz mi głowy nowego reformatora, to skażę cię na śmierć, a Bóg na wieczne potępienie. Teraz, kochane dziecię, rozumiesz mą rozpacz.

W miarę jak mówił, twarz dziewczęcia rozjaśniała się nadziemskim uniesieniem, gdy skończył, uścisnęła rękę starca i zawołała:

— Władca nasz jest sprawiedliwym, mój ojcze, nie trać odwagi; krlól Henryk żąda dzieła, co przyczyni chwały Najwyższemu Panu! Reformatorzy to potępieńcy, co swą obecnością zarażają Francyą. Król chce śmierci Hugonota. O my wszyscy pragniemy ich zagłady! Gdybym miała broń! Słaba dłoń twej córki ocali cię ojcze! Lecz jak poznać Jehana?

— Ma twarz bladą, wysoki, przy czapce czerwone pióro, płaszcz czarny, aksamitny.

— Chodźmy, ojcze, chodźmy.

Małgorzata postąpiła ku drzwiom, lecz ojciec zatrzymał ją i posadził na kolanach, jak to czynił gdy była małem dziecięciem.

— Czekajmy, jeszcze zawcześnie. Cóż zrobimy we dwoje? Zmówię się z naszymi sąsiadami dobrymi katolikami, przygotują się i jutro wieczorem, gdy ci przeklęci hugonoci będą wychodzić z nauki, napadną na nich niespodzianie, a ty dziecię będziesz się modlić, by Bóg dopomógł dobremu dziełu.

— Nie, ojcze, ja będę przy tobie, Jehan musi zginąć!

— Tylko zachowaj najgłębszą tajemnicę, nawet Henrykowi o tem nie mów, jedno słowo nierozważne może wszystko zniweczyć.

— O będę milczała jak głaz, czegoż mego ukochanego mam niepokoić.

Siedzieli długo w noc, przy jasnym promieniu lampy, padającym na twarz dziewczęcia, wyczytać można było bolesną walkę tkliwej duszy niewieściej z fanatyzmem.

Nazajutrz Henryk dla ważnych spraw wcześnie opuścił dom ojca Małgorzaty, pozostali więc na cały wieczór sami.

W dzień wszystko już przygotowano. O godzinie dziesiątej katolicy wysunęli się cicho z domostw i otoczyli zbór, oczekując wyjścia reformatorów. Na każdej czapce jaśniał krzyż biały, dla odróżnienia w cieniu nocnym od innowierców prawych katolików.

Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki jedenastej godziny, hugonoci zaczęli wychodzić z domu, w którym zbierali się co wieczór, nagle rozległ się jakiś chałas; uzbrojeni mieszczanie rzucili się na protestantów; wszczęła się walka głucha i straszliwa.

W pośród walczących, rannych i umierających, przesuwała się kobieta, sama jedna, blada jak śmierć, trzymając w ręku sztylet i upatrując wśród ciemności naczelnika reformatorów.

Ta kobieta, to owa łagodna dziewica, to Małgorzata. Szukała wśród tłumów tego, który bluźnił jej wierze, wiódł na pokuszenie braci, a którego głowa miała zbawić jej ojca. Nagle przy bladem świetle księżyca ujrzała czerwone pióro i czarny płaszcz Jehana do Troyes. Naczelnik reformatorów, przyparty do muru przez nacierających katolików, dzielnie się bronił. Słychać tylko było chrzęst żelaza i jęk rannych.

Małgorzata wsunęła się między walczących przyklękła, potem pochylona przybliżyła się do Jehana i nagle się wyprostowawszy, zatopiła sztylet w jego piersi.

Nieszczęśliwy padł, wydając jęk boleści i skonał.

Na ten widok Małgorzata zadrżała, głos umierającego nie był jej obcym, lecz uczyniwszy znak krzyża świętego nabrała odwagi.

Wdali wrzała walka, a młoda dziewczyna stała nad trupem Jehana; ...„tej głowy trzeba jej było dla ocalenia ojca, nie namyślała się... W kilka chwil wydała okrzyk tryumfu i pochwyciwszy swą ochydną zdobycz, owinęła ją w płaszcz ofiary i rzuciła się ku domowi.

Starzec już powrócił i z niepokojem oczekiwał powrotu córki, bo kto wie, co się z nią stało w tem zamięszaniu.

— Mój ojcze, jesteś ocalony!—wołała wbiegając Małgorzata, — możesz to zanieść królowi Henrykowi!

I przy tych słowach rzuciła swój ciężar na stół, a z fałd płaszcza wychyliła się zakrwawiona głowa o bladej twarzy.

Dziewczyna spojrzawszy zachwiała się, to czoło blade jakżeż jej znane,— zatoczyła błędnym wzrokiem dokoła; dreszcz śmierci przebiegł ją od stóp do głowy; wydała jęk rozpaczny i padła na ziemię bez ducha...

Jehan de Troyes — był to jej ukochany Henryk, ten którego czciła po Bogu na równi z ojcem.

Nieszczęsna, zabiła swego narzeczonego!...

Starzec noc całą stał nieruchomie nad trupem córki i zakrwawioną głową przybranego syna, a gdy jutrzenka zróżowiła niebo, wybiegł śpiewając jakąś piosnkę.

Samotny starzec był waryatem.

Halina.

ŚLADY ŻYCIA

Rok rocznie wszystkie pisma warszawskie pochlebnie wspominają o egzaminach i o popisie w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. Pismo nasze nie było ostatniem, — przeciwnie: przed dwoma laty drukowaliśmy artykuł w czterech ciągach — przez specyalne pióro w tej rzeczy napisany.

Dziś chętnie bardzo nowe piszemy słowa uznania; należą się one pracownikom Instytutu, — należą się zwłaszcza tym, którzy indywidualnie publicznego uznania za ciężką swoję pracę nie odbierają. Uznanie to w naszej prasy koncetruje się najpowszechniej w abstrakcyjnym wyrazie: Instytut. Mówimy to, gdyż staraliśmy się obserwować nie pierwszy rok egzamina, a następnie popis. Sprawozdawcy reporterzy widują tylko popis.

Kraj nasz a w szczególności Warszawa może szczycić się Instytutem; — mówimy to bez przesady. Zakład ten liczbą, obszarem, organizacyą, pracą osób do niego należących stoi bardzo wysoko — i jeszcze rozwija się dalej i rozwój ten łatwo dostrzedz można. Najwidoczniejszy on jest w muzyce i śpiewie ociemniałych. Nie mówimy tego bezwzględnie, gdyż w orkiestrze zauważaliśmy pewne szorstkosci i brak wykończenia. Natomiast w fortepijanie, w śpiewie uderza czystość, dokładność a nadewszystko swobodna deklamacya, klasyczne, spokojne cieniowanie, poczucie rzetelnego artyzmu. Znać rękę nauczyciela — artysty, — znać, że muzyka ma nie tylko zarobkiem być ociemniałemu ale i kształcić go, uszlachetnić.

Widoczny jest niemniej postęp u głuchoniemych. Nauczyciele coraz więcej wyrabiają się w samej fachowości — i w większej poło-

wie egzaminów podziwiać było mozna sztukę wysoko posuniętą. Ale ostateczności się stykają i właśnie ci z nauczycieli, którzy najbliższymi zdają się być szczytu sztuki uczenia głuchoniemych, padają czasem w przesadę. Zauważyliśmy bardzo dobre wymawianie u chłopców,—w wyższych klasach uderzył nas szeroki stosunkowo zakres kursów, ale to dzieje się już kosztem wymawiania, które tu mniej jest poprawne.

Co do zakresu i metod nauczania głuchoniemych i ociemniałych, czytelnik znajdzie wskazówki w czerwcowych i lipcowych numerach naszego pisma z r. 1874. Tutaj nadmieniamy tylko, że najważniejszym i najobszerniejszym kursem wykładu u głuchoniemych jest *nauka języka* tj. nauka tego właśnie, co ludzie słyszący bezwiednie prawie w ciągu dzieciństwa przywłaszczają sobie przez mowę. — W klasie I-ej uczą się dźwięków mowy ludzkiej i co zatem idzie, czytania; w kl. II-ej uczą się słowniczka najpotrzebniejszych rzeczowników i przymiotników, — tudzież formują najprostrze zdania twierdzące i przeczące; w kl. III. uczą się deklinacyj koniugacyj i formowania zdań odpowiednich, w kl. IV — przykładów na użycie przyimków przysłówków, w kl. V — budowy zdań złożonych (spójniki) w kl. VI ogólne objęcie kursu nauki języka.

W popisie odbytym w dniu ostatnim ubiegłego miesiąca mały stosunkowo brali udział głuchoniemi. Byłyły tylko próbki ich mowy, znajomości zwrotów języka, rozumienia z ust mówiącego. Główną część programu popisu zapełnili ociemniali muzyką instrumentalną i wokalną, pojedyńczą lub zbiorową. Wypadł on bardzo korzystnie. Publiczność, która (powiedzmy prawdę), mało się interesuje egzaminami (przeważnie pensyonarki bywały) z nadzwyczajnem zajęciem słuchała popisu, — widzieliśmy prawdziwe rozrzewnienie wielu osób. Po zakończeniu aktu uroczystego wiele osób zwiedzało Muzeum Pedagoiczne Instytutu, któremu coraz więcej preparatów metodycznych przybywa, wyroby głuchon. i ociem. które świadczą o ile wychowańcy uzdolnieni są do praktycznego zajęcia, — tudzież ogródek botaniczny.

Ale nie tylko w kierunku wychowawczym, metodycznym i praktycznym Istytut się rozwija. Kierunek naukowo-literacki także domaga się zaznaczenia. Wydziwić się nie możemy, skąd nauczyciele po forsownej całodziennej pracy (pracować oni muszą jeszcze na zewnątrz zakładu skutkiem szczupłej pensyi) biorą siły i czas do studyów i pisania. W r. b. następujące publikacye opracowane siłami Instytutu wyszły: *Pamiętnik War. Inst. Głuch. i Ociem. Rok szósty* — 8-vo str. 347 (War. 1875)

Ksiądz Jakób Falkowski—napisał Wł. Nowicki — w stuletnią rocznicę urodzin założyciela Instytutu 8-vo str. 82.

Wiadomości z nauk przyrodniczych 16 st. 68. *Kurs Nauki Języka dla Głuchon.* Klassa czwarta 8-vo str. 125.

— Co się dzieje, co się dzieje — aż strach pomyśleć...

— No cóż się dzieje?

— Ba cóż—bankructwa u nas, bankructwa panie dobrodzieju jedne za drugiemi. Fatalne czasy, doprawdy fatalne. Kredytu ani weź, wexli nie płacą, zobowiązań nie dotrzymują, sklepy zamykają; istny krach Wiedeński.

— A tak, a tak, cóż robić, kiedy tak się ludzie urządzają.

— Jakże to panie, jakże, toć to okoliczności winne temu a nie ludzie.

— Trochę okoliczności, trochę i ludzie.

— Wytłomacz że mi pan, jak to rozumiesz....

— Oto, proszę pana, prawda że obawa wojny zagranicznej podszywa nieco strachem tutejszy świat handlowy i przemysłowy, co, rozumie się, wyradza pewną stagnacyą ekonomiczną, a co bardzo naturalnie wywiera wpływ i na nasz ruch ekonomiczny; nieprzeczę dalej, że nasi miejscowi kredytorzy wzdragają się na pewien czas, właśnie przed wprowadzeniem reformy sądowej, przyjmować dyskonta wexelków i negocyować pożyczek gotóweczką, nie wiedząc jeszcze praktycznie jaki mianowicie sprawi skutek nowa procedura na wypłacalność dłużników, czyli raczej, o ile będzie szybką i pomocną do windykacyi należności,—mimo to wszystko, powiadam, bankructwa mnożą się i mnożyć będą przeważnie z winy samych bankrutów.

— A to jakim sposobem?

— Takim panie dobrodzieju, że kredyt jakim obciążają interes handlowy, przenosi zwykle sześćkroć lub więcej cyfrę własnego kapitału, jaki ciż wkładają w ten interes.

— Aha, więc to nieproporcyonalność siły własnego kapitału do ogromu podjętego kredytu, rodzi takie krachy.

— Tak jest. Za kredyt płacić trzeba procenty i w dodatku na termin oddać kapitał. A skądże tu wystarczyć i dla siebie i na procenty i na zapłacenie kredytu, gdy się nie ma własnego kapitału?

— Zapewne, że bankrutować trzeba.

— Tak jest, bankrutować, a nie jeden robi nawet dobry interes na bankructwie. Prawda że to oszukaństwo, że to najoczywistsza kradzież rozmyślnie zarywać ludzi, ale cóż kiedy się tak dzieje — bo moralność i uczciwość panie dobrodzieju w prawo, a ludzie w lewo.

— Oj to, to, to, panie dobrodzieju, to święta prawda.

* * *

Z ogłoszonego za rok zeszły sprawozdania Towarzystwa farmacentycznego dowiadujemy się, iż Towarzystwo to posiada członków honorowych 54 a rzeczywistych 42—razem 96.

Składki wnoszone w r. 1875 wynoszą cyfrę rs. 586—dochód zaś cały wynosił rs. 2,233, kop. 51.

Wydatki wynosiły rs. 1,997 kop. 20 — remanent więc na rok bieżący wynosi kwotę rs. 236 kop. 31.

Co zaś do stanu funduszów kassy wsparcia podupadłych farmacentów, oraz wdów i sierot po farmaceutach, to ten przedstawia się w sposób następujący: ogólny dochód wraz z remanentem z r. 1874 wynosił rs. 2,394 kop. 87½, rozchód zaś rs. 1,917 kop. 25, remanent więc na rok 1876 wynosi rs. 477 kop. 62½.

* * *

Ze sprawozdania Kassy Zjednoczonych Urzędników i Oficyalistów Drogi Żelaznej Warszawsko-Terespolskiej za r. 1875 dowiadujemy się, iż ogólna liczba Stowarzyszonych przy końcu 1874 r. wynosiła 817 osób—z końcem zaś roku 1875 kassa liczyła 879 uczestników.

Dochód kassy był następujący.

Ze składek bieżących od uczestników, oraz opłat wstępnych od nowo-wchodzących do służby, wpłynęło rs. 14,747 kop. 68½; z dopłaty od Towarzystwa drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej na zasadzie 29 § ustawy rs. 2,436, z procentów od papierów publicznych zakupionych z funduszów kassy zjednoczenia rs. 6,040 kop. 91; z zysków na wylosowanych papierach publicznych własnością kassy będących rs. 386 kop. 69½; z kar porządkowych za przekroczenia służbowe (!) rs. 1,087 kop. 37½ (!); ze sprzedaży przedmiotów pozostawionych przez podróżnych na stacyach, oraz w powozach (wagonach) rs. 137 kop. 25; wreszcie z ustąpionego przez Magistrat m. Warszawy 5% od opłaty rogatkowego pobieranej na rzecz miasta rs. 1,277 kop. 54.

Ogółem dochód kassy w ciągu roku 1875 wynosił rs. 26,123 kop. 81½.

Rozchód zaś kassy był następujący.

Zwrot składek uczestnikom występującym ze służby na mocy odnośnego paragrafu ustawy rs. 211 kop. 34; wsparcie głównie wdowom udzielane rs. 896 kop. 50; pensye emerytalne rs. 143 kop. 12½; zwrot niewłaściwie (?) pobranego wpisowego i składek rs. 20 kop. 55.

Razem *wydatki* w ciągu roku 1875, dają cyfrę rs. 1,271 kop. 51½, która porównana z dochodem kassy, wynoszącym rs. 26,123 kop. 81½, wykazuje przewyżkę dochodu tegoż w wysokości rs. 24,852 kop. 31½.

Przewyżka to więc jak widzimy poważna i mogąca posłużyć za dość silny argument przeciw tym nawet którzy przepowiadając blizkie bankructwo pojedynczém kassom zjednoczenia, żądają połączenia takowych w jedną kassę ogólną (!) Stan majątkowy kassy zjednoczenia przy drodze Terespolskiej równie pomyślnie się przedstawia. W r. 1875 kassa posiadała:

W listach likwidacyjnych Królestwa Polskiego wartości nominalnej rs. 82,750; w listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy seryi I-ej war. nom. rs. 37,100; w tychże listach seryi II-ej war. nom. rs. 40,550, w akcyach drogi żel. Warszawsko-Terespolskiej rs. 100, w gotowiznie rs. 246 kop. 12; na dłużnikach (5% rogatkowego za kwartał IV—1875 roku) rs. 327 kop. 71½.

Razem więc cały zasób kassy z końcem 1875 r. wynosił rs. 161,137 kop. 83½.

* * *

„Przegląd Tygodniowy“ przypomina o ogłoszonym ongi konkursie....

— Czyżby znów o dramatycznym, co to w Warszawie tak szykownie się popisał....

— Ale nie, nie, łaskawy czytelniku nie o tym konkursie.

— Tylko o jakim?

— O tym który w miesiącu Listopadzie r. z. ogłoszonym został przez Zwierzchność szkoły handlowej tutejszej na napisanie podręcznika korrespondencyi handlowej w języku polskim, z terminem składania rękopismów do d. 1 Maja r. b.

Przyznać trzeba, że książki, obejmującej wzory takiej korespondencyi, bardzo nam potrzeba, nienależałoby więc lekceważyć tej kwestyi. Ale cóż kiedy ci, których to najbardziej obchodzić powinno wcale sobie głowy nie smażą nad *jakąś tam korespondencyą handlową*. Bo to proszę państwa u nas to tak jest: jak idzie o jaki balik, lub checę to wszyscy o tem muszą wiedzieć i wszyscy się tem interesują — lecz gdy idzie o pożyteczną specyalną książkę, to nietylko że mało kto się o nią troszczy, ale nawet mało kto wie i chce o niej wiedzieć. Przepraszam bardzo za moję otwartość, ale cóż robić kiedy tak jest.

Mimo to wszakże nie przestaniemy nigdy alarmować podobnie ważnych kwestyj i tym razem przytaczamy tu słusznie wypowiedziane w tej materyi słowa „Przeglądu Tygodniowego“.

„Ponieważ od owego czasu, przeszło sześć upłynęło tygodni, a żadnych o konkursie nie mamy wiadomości, uważamy za stosowne interpelacyą tę wnieść do kogo należy. Motywujemy ją zaś ogólnemi zasadami przyjętemi przy wszystkich konkursach. Widocznie tutejsza szkoła handlowa pragnie stanowić wyjątek, jeżeli nie ogłasza ile w terminie powyższym złożono manuskryptów? (Według naszych o ile można najsumienniejszych informacyj, dwóch tylko autorów stanęło do konkursu). Potem nie wiemy, jaki jest skład sądu konkursowego, co w danym wypadku jest rzeczą bardzo ważną. Nie posiadając bowiem w naszej literaturze ani jednego dzieła traktującego o korespondencyi, wypełnienie tej luki tem bardziej powinno nam leżeć na sercu. Występujący z podobną nową publikacyą, nie powinni zapomnieć o niezmiernych trudnościach jakie mają do zwalczenia, jeżeli naturalnie sumiennie wywiążą się ze swego zadania. Wszystkie te okoliczności wymagają kompetentnych sędziów, których wyrok w ostatniej instancyi powinien być poniekąd nietykalnym. Nie przesądzając wreszcie rezultatu konkursu, do którego wypadnie nam powrócić we właściwym czasie, wyrażamy tylko nadzieję że nasze *memento* nie przebrzmi bez echa“.

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Okropna scena miała miejsce w Turynie w dniu 21 kwietnia r. b. Mieszkający przy ulicy Via Doragrossa, inżynier M... od dawna stracił żonę, która mu pozostawiła dwoje nadzwyczaj ładnych dzieci. Młoda guwernantka przyjęta jeszcze za życia jego żony, jako wzorowa nauczycielka, pozostała i nadal w domu p. M... Od niejakiego czasu zniechęciła się ona do swych obowiązków, powziąwszy straszną myśl czynu, który ją od nich uwolni. W czynie tym mieściła się jakaś zemsta. O godzinie 4-tej z południa stanęła na schodach w progu mieszkania oczekując po raz ostatni na swego pana. Zanim jednakże inżynier powrócił z miasta, szedł po schodach na wyższe piętro szewc, nazwiskiem Borelli. Niezwykle rozogniona postać stojącej w progu, jej błyszczące oczy i dziwny wyraz twarzy, zwrócił uwagę przechodzącego rzemieślnika, spytał więc o przyczynę. „To nic!“ odpowiedziała zapytana, lecz ją siły jakby opuściły i w zwieszonem niedbale ręku dojrzał Borelli koniec ukrytego w dłoni sztyletu. Rzucił się nagle ku niej i wyrwał sztylet z ręki. Zlękniona guwernantka wpadła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Borelli pobiegł po policyą. Przybył na miejsce sam komisarz; za nim zdołano dostać się do mieszkania, guwernantka wziąwszy za rękę starszą 9cio letnią dziewczynkę wraz z nią wyskoczyła z balkonu na bruk. Obiedwie na miejscu śmierć znalazły. Lecz nie na tem koniec tego tragicznego wypadku. Gdy komisarz wszedł do mieszkania, ujrzał na łóżku dogorywającą młodszą siedmioletnię córeczkę pana M... którą okrutna guwernantka chustką od nosa zadusiła. Można sobie wyobrazić boleść ojca gdy powrócił do domu.

— Rząd rzeczypospolitej Peruwiańskiej dekretem z d. 6 z. m. mianował profesorami w świeżo założonej szkole politechnicznej następujących Polaków: Edwarda Habicha dyrektorem szkoły, a zarazem członkiem głównej rady inżyn. (byłego profesora szkoły w Montparnasse); Ksawerego Wakulskiego profesorem kursu dróg i mostów; Władysława Klugera, krakowianina professorem hidrauliki, budowy portów, kanałów i robót rzecznych, (byłego ucznia szkół krakowskich, znanogo już ze swych prac lileracklch), mianując go zarazem członkiem rady nadzorczej i rady szkolnej pod prezydencyą Ministra Oświaty. Dalej w gronie dziekanów napierwszego Południowej Ameryki uniwersytetu (w Lima) znajduje się także Polak Władysław Folkierski inżynier, b. korespondent Gaz. Warsz, z Paryża, znny autor „Rachunku różniczkowego i całkowego,“ piastujący obecnie po 2-ch latach pobytu w Peru, godność dziekana wydziału nauk matematyczno-fizycznych i przyrodniczych. Do założenia wspomnianej szkoły politechnicznej dał inicyatywę p. Habich. Z listu p. Klugera dowiadujemy się, że tenże szczegółowo wypracował projekt przeprowadzenia, a właściwie przeniesienia przez dwa pasma Kordyljerów rzeki Maure. Koszta, jakich będzie wymagało wykonanie tego olbrzymiego dzieła wynosić mają 20 miljonów franków. Roboty będą w krótce poruczone przedsiębiercom francuzkim.

— W Płocku jak donosi „Gaz. Lubelska“ zawiązała się spółka, której celem jest ułatwienie pracy kobietom, w sposób nader praktyczny: Spółka przyjmuje różne zamówienia od osób zgłaszających się, zakupuje materyały i wykonywa roboty w zakładzie, albo daje znanym sobie pracownikom do domów. Wszelkie roboty kobiece przyjmuje do sprzedaży w komis pobierając 10% komisowego. Pracownia otwiera się zdniem 1 lipca r. b. Przygotowawcze działania rozpoczęły się, niektóre działy już zaopatrzone i producentki chętnie zgłaszają się tak do zajęć, jako też dostarczają gotowe wyroby.

Dzięki więc zachętom piśmiennictwa naszego, „prac kobiet“ widocznie z dziedziny teoryi w zakres rzeczywistości przechodzi.

Objaw ten nie jest wcale wypadkowym, ale przeciwnie stopniowo, niemal systematycznie rozwijającą się działalnością, składającą niezbite dowody, że coraz większy zastęp kobiet staje w poważnem kole pracowników społecznych, którym utrzymanie tak bardzo dziś zagrożonego indywidualnego jak i rodzinnego bytu leży na sercu.

Dowody te tem rozleglejszego nabiorą znaczenia, gdy zechcemy je związać jedną a upowszechniającą się przewodnią myślą, że płeć niewieścia o tyle samodzielniejszą i niezależniejszą będzie, o ile czas, którego się wiele jeszcze dotąd marnuje na trefienie piramidalnych *koków*, na dopasywanie szpecących kształty *tiurniur*, opinanie powłoczystych *ogonów* i t. p., produkcyjniej zużytkować potrafi.

W owym względzie zwrot ku lepszemu daje się postrzegać i w Lublinie: albowiem do zakładów fotograficznych pp. Chińciskiej i Nowaczyńskiej — introligatorni — sklepów gospodyń wiejskich — fabryki sztucznych kwiatów, pończoch maszynowych, tak że szwalni, przybywa jeszcze warsztat obówia kobiecego pani *Cholewińskiej*.

Pracownia ta w pierwszych dniach lipca r. b. otwartą zostaje w domu p-a Vetter'a przy ulicy Bernardyńskiej w mieszkaniu pod Nr. 2, jej zaś dalszy rozwój należeć będzie od względów publiczności i od wartości wyrobu, którego dobroci sądząc z pewnych danych, dziś już spodziewać się możemy. Teraz na zakończenie ogólna uwaga: jeżeli praca uzacnia, to oznaczanie swego nazwiska na szyldzie tylko *pierwszemi literami* — niewłaściwem nam się wydaje.

— Korespondent z Paryża do Kuryera Codz. prosi o podanie do wiadomości krewnych, zamieszkałych w kraju tutejszym, iż dnia 1 kwietnia r. b. zmarł w Paryżu *Józef Gabliński* niegdy oficer b. w. p. w 74 roku życia, pochodzący z Tuliszkowa. Podobnież d. 15 t. m. zmarł w Pau w południowej Francyi, *Roman Benduski*, malarz, z krakowskiego w 66 roku życia.

— W tych dniach we Lwowie, podczas przedstawienia w teatrze, policya aresztowała niejakiego *Władysława Winnickiego*, poszukiwanego od dwóch lat listami gończemi, a obwinionego o kradzież 2000 rs. popełnioną podczas gry hazardowej pewnemu obywatelowi z Królestwa Polskiego. Aresztowany mienił się być Edwardem Köhler i na to nazwisko miał paszport wydany, ale w końcu przyznał się do wszystkiego.

Literackie i Wydawnicze.

— Uzupełniając uczynioną wzmiankę o zamierzonem wydaniu przez p. Feliksa Erlickiego, b. sekretarza Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi (Puławach), dzieła p. t.: „Rys historyczny Instytutów Rolniczo-Leśnych w Królestwie Polskiem", Kuryer Codzienny nadmienia, że dzieło to ułożone na podstawie źródeł urzędowych, obejmie wyczerpujący przebieg działalności byłych i obecnie istniejącego Instytutu, za upłyniony 50-letni okres czasu. Ozdobione będzie pięknemi drzeworytami, w liczbie których będą portrety wszystkich dyrektorów, poczynając od ś. p. Flatt'a. Prenumeratę na to dzieło po rs. 3 za egzemplarz, przyjmuje Redakcya Biblioteki Rolniczej (ulica Ciepła Nr. 7), wszystkie księgarnie, oraz magazyny p. Szustra na placu Teatralnym i p. Ordy na Nowym-Świecie.

— W księgarni Gebetnera i Wolffa znajduje się obecnie na składzie dziełko: „Zgubne zasady Talmudyzmu", podane do rozwagi żydom i chrześcijanom przez dra Rohlinga z memoryałem Staszyca, i „Talmud i żydzi", rzecz przez W. L. S.

— W odcinku „*Gazety Polskiej*" która z d. 1 Lipca w znacznie zwiększonym poczęła wychodzić formacie, rozpoczęto druk oryginalnej powieści I. J. Kraszewskiego p. t. „*Zygzaki*". Wyszła też w tych dniach tegoż niestrudzonego pisarza powieść historyczna w 3 tomach p. t. *Stara baśń* obrazująca czasy Popielowe.

Artystyczne.

— Pani Modrzejewska wystąpiła w Teatrze Lwowskim w dniu 26 Czerwca, w dramacie „Angelo Malipieri" w którym w roli żony podesty, grała podczas tego przedstawienia panna Deryng. Ciekawe to zapewne było widowisko w którem przyjmowały udział dwie tak wysoko utalentowane artystki. W kilka dni później pani Modrzejewska wystąpiła na scenie Lwowskiej w komedyi Szekspira p. t. „Wiele hałasu o nic".

Szkoły.

— W skutek rocznych egzaminów odbytych w roku sz. $18^{75}/_{76}$ w Cesarskim Warszawskim Uuiwersytecie, następujący Studenci po ukończeniu całkowitego kursu nauk, mają sobie przyznane przez Radę Uniwersytetu prawo na otrzymanie stopni naukowych, *kandydatów*—z warunkiem przedstawienia następnie odpowiedniej rozprawy:

1. Z Fakultetu filologicznego. Bobruk Jakób, Dębicki Władysław, Kaczanowski Włodzimierz, Król Kazimierz, Laszuk Roman, Markiewicz Arsenjusz, Newski Mikołaj, Petruczenko Józef, Pławiński Józef, Puławski Arkadyusz, Przybyłowski Feliks.

2. Z fakul. Fizyko-matematycznego: Eysmont Antoni, Fabowski Aleksander, Natanson Józef, Pawlewski Bronisław, Poznański Edward, Terpiłowski Feliks.

3. Z fakultetu prawnego: Barok Antoni, Barcz Aleksander, Bedlicki Michał, Biskupski Wincenty, Brochocki Kazimierz, Czajkowski Jan, Czyżew Mikołaj, Dobiecki Eustachiusz, Drozdowicz Władysław, Dunin Józef, Dzwonkowski Józef, Gawroński Konrad, Gagatnicki Władysław, Goldberg Alfons, Harusiewicz Adam, Komoryniec Teodor, Komierowski Konstanty, Kompaniejców Aleksander, Kurman Antoni, Kuczewski Kazimierz, Lewenberg Izydor, Likiert Natan, Limbert Aleksander, Łącki Józef, Majzel Józef, Pawłowski Teodor, Pilecki Antoni, Pruszyński Konrad, Puchalski Józef, Słupski Wacław, Świderski Leopold, Szyff Józef, Tur Konstanty, Tyski Wiktor, Wajcht Józef, Wiśniewski Ryszard.

Otrzymali stopnie *Rzeczywistych Studentów:*

1. Z fakul. fizyko-matematycznego: Jurkowski Leon, Świdwiński Zygmunt.

2. Z fakultetu prawnego: Beczkowicz Wacław, Cieślicki Wincenty, Chojnowski Piotr, Dworzycki Jan, Finkelhaus Adolf, Grabski Józef, Gutowski Tomasz, Henisz Józef, Jaszowski Bronisław, Kaszewski Sabin-Bronisław, Krajewski Jakób, Kreczmar Lucyan, Kornfeld Mikołaj, Landowski Maryan, Michelis Gustaw, Nieznański Jan, Pawłoski Jan, Świda Adolf, Wojcicki Grzegorz.

Wiadomość o otrzymujących stopnie naukowe z fakultetu medycznego, udzieloną będzie wkrótce po odbyciu przez Studentów Uniwersytetu Warszawskiego egzaminów praktycznych.

Stowarzyszenia.

— **W Łodzi** organizuje się stowarzyszenie rzemieślnicze (Gewerbe-Verein), które ma na celu między innemi: za pomocą zebrań, konferencyj, odczytów i doświadczeń dostarczyć materyału do pouczających rozmów i przyczynić się do rozwoju i udoskonalenia tamecznego przemysłu.

— **W Bydgoszczy** utworzyło się towarzystwo akcyjne, z kapitałem podobno półtora miliona marek (Talar. 500,000), celem założenia bezpiecznego portu dla drzewa przychodzącego Wisłą z Królestwa Polskiego. — Przy wzbieraniu bowiem rzeki, właściciele spławionego drzewa, co rok prawie narażeni są na znaczne straty, z powodu unoszenia całych czasem transportów przez wezbraną wodę. — Port mający obejmować 300 — 600 morgów magd. ma być zrobiony powyżej Bydgoszczy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Lucyanowi W. w Florencyi. Podług życzenia przesłaliśmy Opiekuna Domowego za Kwartał I. i II pod wskazanym adresem. Co do pieniędzy to najlepiej zapewne dla pana będzie nadsyłać nam prenumeratę w guldenach austryackich — jakkolwiek dla nas wszystko jedno, czy guldeny austr. czy marki pruskie.

Panu Irzyk: w Berlinie. Drugie egzemplarze Opiekuna Dom: za kwartał II wysłaliśmy kilka dni temu i odtąd stosownie do życzenia Pańskiego wysyłać będziemy po 2 a nie po jednym egzemplarzu. Należność odebraliśmy.

Panu Stanisławowi Kam: w Monachium. Serdecznie dziękujemy za słowa uznania tak Sz. Panu jak i Towarzystwu, w imieniu którego odnosisz się Pan do nas. Postęp i dobro ogólne zawsze mamy i będziemy mieć na uwadze.

Panu Jastrzęb: Przesyłamy Sz. Panu Opiekuna Dom: od 1-go Stycznia. Dobrze żeś się Pan z żądaniem pospieszył bo za ten czas Opiekun wkrótce wyczerpanym zapewne będzie, ponieważ w ostatnich czasach mieliśmy wiele zamówień za całe ubiegające półrocze.

Poni Melanii T. Mówisz Pani, że dość ostro wyraziliśmy się o filantropii niektórych pięknych dam naszych—ale czyż sama Pani nie przyznajesz w drugim ustępie listu swego całej słuszności i prawdy dowodzeń naszych?

Tak Pani, cośmy powiedzieli w tym względzie oparte jest na doświadczeniu. Zresztą czujesz Pani sama to dobrze.

Pani Maryi Bel: Słuszność czy prędzej czy później zyskać musi uznanie; na to zgadzamy się z Panią. Im prędzej wszakże tym lepiej. Dla tego cieszymy się, że słowa nasze w artykule Śladów Życia o tanich kuchniach zyskały pani i jej przyjaciół uznanie.

Panu Eger: w Moskwie. Bądź Pan spokojnym, nigdy tej drogi nie porzucimy.

Żądane książki przesłaliśmy. Masz Pan u nas do dyspozycyi 80 kop.

Panu Feren: w Kijowie. Najchętniej, jeśli wiarogodność faktu potwierdzaną przez Pana będzie.

Pani E Odalic: w Wiedniu. Proszę pani, Warszawa a Wiedeń to wielka różnica. Wprawdzie i tu miasto i tam miasto, i tu ludzie i tam ludzie lecz—ani miasto miastu ani ludzie ludziom nie są podobni. Zresztą potrzeby jednych są różne od porzeb drugich. Opiekuna Dom. pod nowym adresem wysyłać będziemy.

Pauu Faustynowi w Warszawie. Któż Panu winien jeśli nie Pan sam? Po co było się wtrącać. Zechciej Pan wierzyć że gdyby ludzie więcej swoich aniżeli cudzych interesów pilnowali to by było lepiej i spokojniej na świecie. Masz Pan najlepszy dowód na sobie. Przyznaj Pan sam, że w przysłowiu „*nie wścibiaj nosa do cudzego kosza*" jest wiele mądrości. Wybacz Pan otwartość i wierz w naszę życzliwość.

Panu Gawarec. Jestto sprawa czysto prywatnej natury—zatem publikować jej nie możemy. A dotykamy tylko tych kwestyj, które mają czyto pośrednią czy bezpośrednią łączność z ogólnem życiem. Zresztą proszę Pana jest to fakt tej doniosłości co czyjaś drzemka po obiedzie.

Panu Arturowi. I Sz. Panu odpowiadamy tak jak Panu Alfonsowi, że sprawiedliwie bardzo nazwaliśmy ich zdechlaczkami.

Panu Leonowi Wilcz: I czegoż to Pan wymagać masz prawo od kobiety, jeżeli ona może się Panu niespodobać dla tego tylko, że fałd jej sukni nie podoba się Panu. Możemy Panu jeszcze to dodać, że im więcej będziemy szanować kobiety, tem więcej sami siebie szanować będziemy.

Pannie Klarze R. Znajdziesz Pani u nas zawsze uczciwą chłostę dla próżniactwa głupstwa i arogancyi. Za przyjazne słowa dziękujemy i prosimy rachować na nas, że zawsze strzedz będziemy interesów kobiecych w granicach, rozumie się, słuszności.

Pani Stefanii hrab. Plater w Ucianach. Nr. 19, 20, 21 i 22, powtórnie posyłamy.

Pani Michalinie Leśniew... Adres zmieniliśmy—Rs. 4 wnieśliśmy Redakcyi dwutygodnika „*Świat*". Z wydawnictwa „Wychowanie *Domowe*" posyłamy tom 8-y „*Wypisy Polskie*"

Panu Wysock.... 8-y tom wydaw. p. t. *Wychowanie Domowe* stanowią Wypisy Polskie i te przysyłamy.

Pani Ruszkow... w Nowo Radomsku. Wszystkie Nr. Kwartału II przesłane były Szan. Pani w czasie właściwym—prosimy dopomnieć się o nie na stacyi pocztowej.

Panu M. Frankow... w Rumelsburgu pod Berlinem Nr. 11 brakujący posyłamy.

Panu Adolfowi Błus... i *Panu J. B. Liwsk.* Nr. 20, 21 i 22 posyłamy z zapewnieniem, że w czasie właściwym były one złożone dla Szanownych Panów tutejszej ekspedycyi gazet.

Panu Józefowi Zdrojk... w Sterdyniu. Wszystkie numery wysłane bywały w czasie właściwym—prosimy więc upomnieć się o takowe na stacyi pocztowej—Nr. 15, powtórnie przesyłamy.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Іюня (7 Іюля) 1876 г.

W drukarni Władysława Dębskiego. Warszawa, Nr. 20.

Wydawca Korzeniowski.

Redaktor Henryk Perzyński.